

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



Wojna po amerykańsku

Mocarstwo, nawet działając
w słusznej sprawie, może popełniać
kosztowne błędy

/ M3

Iran / M6

Wybuchowe media

Na platformach społecznościowych Irańczycy pokonali Donalda Trumpa w jego własnej grze. Publikowane przez nich filmiki umiejętnie pogrywają na nastrojach społecznych w USA, odciągając uwagę od brutalności reżimu ajatollahów
relacjonuje Karolina Wójcicka

Liban / M7

Słabnący krupierzy władzy

Izraelska interwencja w Libanie toczy się w cieniu wojny w Iranie. Ale będzie miała równie dalekosiężne skutki, jak konfrontacja USA i Izraela z Teheranem. I może w dużej mierze przesądzić o losie Hezbollahu
pisze Mariusz Janik

Wywiad / M18

Każdy myśli, że pomaga

W przypadku większości zawodów zaufania publicznego kształcenie państwowe jest standardem. Psychoterapeuci to wyjątek: wszystko jest w prywatnych rękach tłumaczy Przemysław Bąbel

Technologia / M22

Z głową w chmurze

Europa stoi przed dylematem: jak zachować zrównoważony rozwój, a przy tym rozwijać centra danych szybciej niż czołówka, która takich skrupułów nie ma
pisze Piotr Wójcik



FOT. WOJTEK GORSKI

Może to kiepski plan, ale przynajmniej konsekwentny

Jan **Wróbel**

Szkołę czeka katastrofa, wieszczy Związek Nauczycielstwa Polskiego. Prawdę mówiąc, odkąd pamiętam, szkoła „upada”, „przeżywa kryzys”, „nie uczy” i tym podobne. Jakoś trwa, na tle europejskim nawet w nienajgorszej kondycji. Jednak na miejsce odchodzących nauczycieli w wieku okołoemerytalnym mało przychodzi (i zostaje) pracowników młodych. Słusznie napominają więc związkowcy premiera, który obiecał, dostał oklaski i zapomniał. Chodzi o obietnicę złożoną na zjeździe ZNP w 2024 r. na temat powiązania zarobków nauczycielskich z przeciętnym wynagrodzeniem w gospodarce. Cóż, było, minęło.

Ani ZNP jednak, ani czynnik rządowy, ani nawet samorządowy nie wypowiadają się precyzyjnie w delikatnej sprawie oceny jakości pracy pedagogiczno-dydaktycznej. Przeprowadziliśmy w Polsce wiele trudnych reform, nawet w górnictwie i leczeniu onkologicznym, ale powiązanie płacy nauczyciela z jego sprawdzonymi w boju umiejętnościami okazuje się za trudne. Ministerialne służby coś potrafią wypychać w sprawach wymiernych, papierkowych.

Co jednak zrobić z prostą obserwacją, że jedna pani jest dla młodzieży prawdziwym punktem odniesienia, a druga lekceważoną nudziarą? Odpowiedź: analizować dokumentację szkolną.

Rzecz jest o tyle pilna, że szkołę porywa fala edukacji włączającej. Myśl szczytna. Ale ci, którzy ją wprowadzają w życie w szkole, nie uczą. Oni są szlachetni, a nauczyciele muszą przychodzić do pracy. Pracy o wiele bardziej wymagającej, o wiele bardziej obciążającej psychikę – również dlatego, że rodzice dzieci nieobjętych dodatkowymi procedurami i wzmocnieniami na ogół dalecy są od radości, że szkoła ewoluuje w stronę placówki opiekuńczej. A co z wynikami naszych dzieci? – pytają rozsierdzeni. Z kolei rodzice dzieci otoczonych dodatkowymi staraniami są, często, rodzicami nawykłymi do walki o dobro dziecka. Także walki (nieraz słusznej!) z nauczycielami.

Podsumujmy. Nauczyciele nie będą zarabiać lepiej, za to pracować będą w coraz trudniejszych warunkach. Może to kiepski plan, ale przynajmniej konsekwentny. ©



FOT. STR/ICNA VIA KNS/AP/EAST NEWS

Wywiad / M12

Tania siła robocza za rakiety

Formalnie są w Rosji studentami. W praktyce pracują po kilkanaście godzin dziennie, a zarobione przez nich pieniądze trafiają do reżimu w Pjongjangu
mówi Joanna Hosaniak

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz
Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PIK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KIP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FIP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Glowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczone jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpatności; ©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

DGP Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
wideo, podcasty, analizy na

Wojna po amerykańsku



FOT. DANIEL TOROK/WHITE HOUSE

Konflikt z Iranem raczej nie jest ostatnią wojną USA pod rządami Donalda Trumpa. Pokazuje przy tym wyraźnie, jakie błędy może popełniać mocarstwo – nawet działając w słusznej sprawie – i jaka może być ich cena

Witold

Sokała

Gdy we wtorek, tuż przed północą czasu polskiego, Donald Trump ogłosił de facto bezterminowe („do czasu złożenia irańskiej propozycji i zakończenia rozmów”) zawieszenie broni w konflikcie z Iranem, można było ten komunikat interpretować na różne sposoby. Na przykład jako dowód dobrej woli, odpowiedzialności i rozsądku prezydenta USA, ale w kontekście wielu wcześniejszych działań obecnego lokatora Białego Domu nie było to zbyt przekonujące. Bardziej realistycznie brzmiały komentarze o słabości woli, politycznej niekompetencji i chaosie decyzyjnym w administracji amerykańskiej. Cykl zmian stanowisk Waszyngtonu powtórzył się bowiem już po raz kolejny.

Najpierw były eskalacja (tym razem m.in. zajęcie statków) i retoryczne

groźby. Potem obserwowanie ze zdziwieniem, że na przywódcach Iranu nie robi to wrażenia i nie spieszą się nie tylko z kapitulacją, lecz nawet z przybyciem na rozmowy do stolicy Pakistanu, a co gorsza, w rejon potencjalnych walk płyną jakieś jednostki chińskiej marynarki wojennej. Efekt – przedłużenie obowiązywania rozejmu. Najpierw przeniesienie finalnej daty z wtorku na środę, ale wkrótce później refleksja, że to przecież także nie rozwiązuje problemu. Więc... Eureka! „Do czasu zakończenia rozmów”. A że te się nawet jeszcze nie zaczęły i nie wiadomo, czy w ogóle do nich dojdzie? Drobiazg.

Było też zapewne bardziej pragmatyczne tło tego teatrzyku. Część ludzi związanych z prezydentem robi w tym bałaganie udane biznesy na własną rękę, np. spekulując akcjami związanymi z branżą energetyczną i sektorem zbrojeniowym, a inna przygotow-

wała tymczasem scenariusze wojenne, mające w pewnym momencie ostatecznie rzucić Iran na kolana. Dla obu grup publiczne wygłupy ich szefa są bardzo użyteczne – tworzą kolejne okazje do zarobku i usypiają lub myślą przeciwnika. Nikt więc nie stara się za bardzo, by zapobiec nadaktywności prezydenta w zakresie formułowania publicznie coraz to nowych, nawet wewnętrznie sprzecznych komunikatów.

Fazy chaosu

Ciąg dalszy oczywiście nastąpi. Obecne wydarzenia ani nie zakończą amerykańsko-chińskiego (de facto) starcia o cieśninę Ormuz, ani nie są ostatnią wojną Stanów Zjednoczonych w nadchodzących latach. A dopóki prezydentem USA pozostaje Donald Trump, opisany schemat prowadzenia działań raczej będzie się powtarzał,

a świat będzie się mიაł w próbach interpretacji, czy tym razem Trump świadomie blefuje czy nieświadomie bredzi. I czy Stany Zjednoczone wchodzi po drabinie (eskalacyjnej), czy z niej schodzą, a może w ogóle właśnie zabierają ją w inne miejsce.

W tym szaleństwie oczywiście może być metoda, krótkotrwale nawet użyteczna, ale długofalowo niekoniecznie wyjdzie to Stanom Zjednoczonym na dobre. Poczucie niepewności doprowadza do szału nie tylko przeciwników, lecz także faktycznych i potencjalnych sojuszników, a w dodatku rynki, które normalnie kibicowałyby przecież spokojnie staremu hegemonowi.

Amerykańskie elity polityczno-biznesowe zdają sobie najwyraźniej sprawę, że świat wszedł w okres strategicznego przesilenia. USA mają bardzo wiele do stracenia, trudno się więc dziwić, że są zdeterminowane ▷

Narracje oddanych fanów Donalda Trumpa o tym, że serią swych ostatnich działań jakoby „chwycił chińską gospodarkę za gardło”, można na razie włożyć między bajki. Niestety, bo cel niewątpliwie zbożny i zbieżny ze strategicznymi interesami całego Zachodu

do zastosowania wszelkich środków, także wojskowych, aby zachować wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję. Pytanie tylko, czy użyją swej niekwestionowanej potęgi w sposób mądry.

Jeszcze nie tak dawno, po upadku ładu zimnowojennego – bipolarnego, charakteryzującego się dość czytelnymi regułami i efektywnie „obsługiwanego” przez pragmatycznych zawodowców po obu stronach barykady – mieliśmy krótki okres chaosu, ale porządkowanego przez USA jako jedyne supermocarstwo. Wkrótce zaczęły się jednak wyłaniać nowe potęgi. Najpierw niepaństwowe. Grające o własne interesy, coraz bardziej niezależne od rządów wielkie korporacje wchodziły na arenę bardzo dyskretnie, starając się niepotrzebnie nie płoszyć swoich ofiar. W efekcie zapewniły sobie znakomitą pozycję, najpierw naruszając suwerenność państw małych i średnich, a potem zdobywając przemożny wpływ nawet na politykę USA. Organizacje terrorystyczne, napędzane ideologią islamskiego fundamentalizmu, wręcz przeciwnie – zademonstrowały swe aspiracje bardzo spektakularnie, wśród krwi i dymu.

Stany Zjednoczone wraz z sojusznikami zajęły się w efekcie „wojną z terroryzmem”, skądinąd zwycięską, bo za strategiczny sukces można jednak uznać zminimalizowanie ryzyka destabilizacji państw zachodnich przez kolejne ataki przy jednoczesnym niedopuszczeniu do powstania na globalnym Południu znaczących obszarów trwale kontrolowanych przez Al-Kaidę czy ISIS. I co najważniejsze: ile niewinnej krwi przelaliby islamisci, ilu czołówek medialnych zdobyliby dzięki spektakularnym zamachom, i tak nigdy nie mieli szans zachwiać dominacją dolara w globalnej gospodarce. A więc to jeszcze nie była ta wojna, która realnie mogła zburzyć system, a nawet sprawić, że Ameryka zostanie zmuszona do sięgania po środki ostateczne.

Stawka rośnie

Problem w tym, że w cieniu tej batalii – a w jakimś stopniu dzięki niej – wyrosli nowi aktorzy państwowi zainteresowani rzuceniem wyzwania globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych. Niektórzy z nich wybierają stopniowe rozpychanie się i rywalizację, która daje się wtłoczyć w reguły gry o sumie niezerowej. To przede wszystkim Indie, ale także Brazylia czy bogate monarchie sunnickie z okolic Półwyspu Arabskiego. Być może nadal daje się zaliczać do tej kategorii także Chiny. Obiektywnie byłoby to chyba w ich interesie, gdyż więcej mogą zyskać na momentami ostrej, ale pokojowej rywalizacji niż na przekroczeniu progu otwartej wojny. Nie sposób jednak lekceważyć tego, że Pekin buduje sobie narzędzia do al-

ternatywnego rozwiązania przez własne zbrojenia nuklearne, rozbudowę konwencjonalnych sił lądowych i oceanicznej marynarki wojennej, ale przede wszystkim poprzez inwestycje w koalicję państw bardziej brutalnych i niezdolnych do pokojowej konkurencji. To tak zwana oś zła obejmująca Rosję, Koreę Północną, a także Iran.

Do tego dochodzi grupa państw, które można zakwalifikować jako „pograniczne” – zbyt powiązane z Rosją czy Chinami, żeby łatwo wejść w orbitę zachodnią, ale potencjalnie do tego zdolne, jeśli tylko USA włożą w to nieco wysiłku. Mogą zastosować kij, np. pomoc w zmianie dysfunkcyjnych władz, a potem marchewkę, czyli odpowiednio sprofilowaną pomoc ekonomiczną. Chodzi np. o Wietnam (z którym subtelna gra toczyła się już od lat), Wenezuelę (po okresie stagnacji Waszyngton zdecydował się niedawno na pokerową zagrywkę w postaci porwania prezydenta Madury, zobaczymy, z jakim długofalowym skutkiem) czy Kubę (tutaj różne scenariusze są w grze i pewnie niebawem można się spodziewać fajerwerków). Zależność jest dosyć prosta – im lepsza jakościowo i efektywniejsza będzie polityka amerykańska wobec tej grupy państw, tym mniejsze szanse Chińczyków na ostateczne wciągnięcie ich do swojej zbrojckiej drużyny.

Warto przypomnieć, że Iran też mógł znaleźć się w powyższej kategorii „państw pogranicznych” i otrzymać ofertę stopniowego łagodzenia swojej polityki, zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Najbliżej tego sympatycznego scenariusza byliśmy chyba w roku 2015, gdy podpisano porozumienie pomiędzy Teheranem a grupą P5+1 (USA, Wielka Brytania, Francja, Rosja, Chiny, Niemcy oraz UE) nazwane JCPOA (Joint Comprehensive Plan of Action). W zamian za zniesienie sankcji gospodarczych Iran miał wtedy ograniczyć i poddać zewnętrznej kontroli swój program nuklearny, co być może – w dalszej perspektywie – otworzyłoby drogę do kolejnych działań, np. rozwoju współpracy ekonomicznej i redukcji irańskiego wsparcia dla ruchów destabilizujących region, takich jak Hezbollah czy Ansar Allah (Huti), a przy okazji stopniowej liberalizacji polityki wewnętrznej. Pierwsza administracja Trumpa wycofała się jednak z tego porozumienia w 2018 r., Iran zaś w odpowiedzi utwardził swą politykę, na potęgę zabrał się do wzbogacania uranu, ale też wiązał się coraz ściślej z ośią zła. I brutalnie pacyfikował wewnętrzne protesty.

Wieszanie strzelb na ścianie

W efekcie wszyscy znaleźliśmy się dzisiaj w punkcie, z którego raczej nie

ma już odwrotu. Opcje są na dłuższą metę tylko dwie. W pierwszej Amerykanom uda się złamać reżim i postawić na swoim, do czego nie wystarczy bled i pohukiwanie. Będzie to wymagało poważnej operacji militarnej, zapewne z użyciem (przynajmniej ograniczonym) sił lądowych, a ostateczne sięgnięcie po broń masowego rażenia wcale nie jest wykluczone. Kto twierdzi inaczej, po prostu zaklina rzeczywistość. Sukces USA jest więc militarnie możliwy, ale będzie niezwykle kosztowny pod wieloma względami. Żeby go osiągnąć, operacyjny plan Waszyngtonu musi w dodatku zawierać element skutecznego odstraszenia Chin. Druga opcja to strategiczny odwrót, czyli przyklepanie przedwojennego status quo, nawet z ewentualnymi korektami na rzecz Iranu. Trump i spółka mogą próbować propagandowo odwrócić kota ogonem i przedstawić to jako swój sukces, ale najprawdopodobniej taki manewr i tak byłby dla USA wizerunkową katastrofą i bezpośrednią zachętą dla innych państw bandyckich, by (z cichym błogosławieństwem i wsparciem Pekinu) jeszcze bardziej utwardzić swoją politykę wobec USA.

Tak źle i tak niedobrze. W obu wariantach Amerykanom będzie przy tym niezbędny wzmoczony wysiłek zbrojeniowy. Trudno się w tej sytuacji dziwić, że i tak gigantyczny budżet na wydatki wojskowe na rok 2027, preliminowany pierwotnie na niemal 900 mld dol., ma zostać wywindowany (jak poinformowano w Waszyngtonie w tym tygodniu) na astronomiczny poziom 1,5 bln dol. Da to największy wzrost rok do roku od czasów II wojny światowej, a wśród tego, co Pentagon nazywa „priorytetami prezydenckimi”, mają się znaleźć m.in. obrona przeciwkietowa (w tym Złota Kopuła), drony, sztuczna inteligencja i infrastruktura danych, a także rozbudowa bazy przemysłu zbrojeniowego. W odniesieniu do marynarki wojennej (program Złota Flota) przewiduje się 65 mld dol. na zakup w prywatnych stocznicach

18 okrętów wojennych i 16 okrętów wsparcia, co stanowi największe tego typu zadanie od 1962 r. 102 mld dol. (z obecnie planowanych 900 mld) mają pójść na samoloty od koncernu Lockheed Martin, głównie na aż 85 nowych F-35, ale intensywne zakupy będą też dotyczyć strategicznych bombowców. W odniesieniu do sił powietrznych zanoszą się na wzrost wydatków o jedną czwartą. W przypadku technologii dronowych i AI – łącznie niemal o połowę, w niektórych najbardziej wrażliwych pozycjach nawet kilkaset razy. Nieznaczenie (o 44 tys. etatów, po wzroście o 20 tys. w 2026 r.) ma się zwiększyć stan osobowy sił zbrojnych, a pensje mają zostać podniesione o 5–7 proc. (największe podwyżki mają dostać młodzi żołnierze niskich rang).

Na ścianach naszego wspólnego domu zawiśnie więc jeszcze więcej strzelb, a to oznacza rosnące prawdopodobieństwo, że w końcu zostaną użyte nie tylko do robienia wrażenia na publice.

Podwójne standardy

Irański program jądrowy, ewidentnie zmierzający do zastosowań militarnych, oczywiście był i jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa nie tylko w wymiarze regionalnym. Rzecz w tym, że do niedawna można było próbować rozwiązać ten problem bez doprowadzania świata do krawędzi wojny nuklearnej, a globalnej gospodarki do najpoważniejszego w dziejach kryzysu energetycznego (to ocena dyrektora wykonawczego Międzynarodowej Agencji Energetycznej Fatih Birola sprzed paru dni). Wszak z innymi agresywnymi państwami atomowymi, czyli Rosją i Koreą Północną, już regularnie szantażującymi nas swoimi głowicami i raketami balistycznymi, Amerykanie (w tym Donald Trump) potrafią prowadzić zupełnie inną grę, w której kartą są też miłe gesty i uparte próby dialogu. I to pomimo tego, że owi kontrpartnerzy śmieją się Zachodowi w twarz i szeroko, na skalę bodaj jeszcze większą niż Iran, wspierają przeróżnych dywersantów.

Wyjaśnieniem tego paradoksu może być pewna sygnalizowana już wewnętrzna słabość USA – rosnąca podatność ośrodka decyzyjnego na lobbging korporacyjny ze stro-

Jak Chiny wykorzystują wojnę w Iranie



Czytaj też

USA pracują usilnie nad zapewnieniem sobie niezbędnych dostaw. Dlatego w otoczeniu eksperckim Białego Domu powracają koncepcje, by zamiast iść na ostrą konfrontację z ChRL, dogadać się co do minimum wspólnych interesów, a być może nawet co do podziału stref wpływów i wspólnego szachowania słabszych graczy. Stąd zapewne koncepcje powołania rady handlu, która określałaby, jakie towary oba mocarstwa mogłyby w sposób zrównoważony wymieniać między sobą, nie przekraczając przy tym czerwonych linii bezpieczeństwa narodowego.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Cierpliwe układanie kamyczków (...)”, DGP nr 69/2026 z 10 kwietnia 2026 r.

USA

ny podmiotów zainteresowanych akurata destabilizacją Bliskiego Wschodu. A także na lobbując izraelski, zwłaszcza jastrzębich frakcji dążących do eskalacji w walce z Iranem z powodów religijno-ideologicznych (na to nakłada się fanatyzm pewnych wpływowych grup chrześcijańskich w USA, celowo starających się przybliżyć biblijny Armagedon) lub po prostu dla umocnienia swej władzy.

Jest też jednak bardziej racjonalna przyczyna amerykańskiego ataku na Iran – kwestia gospodarczego i geostrategicznego znaczenia cieśniny Ormuz. Jeszcze niedawno transportowano tędy jedną piątą globalnego wolumenu ropy naftowej i skroplonego gazu ziemnego. Zatrzymanie lub obłożenie haraczami tego przepływu to ogromna władza nad wieloma światowymi graczami, co niewątpliwie marzy się Donaldowi Trumpowi. Ten plan ma ograniczenia. Na przykład Chiny nie tylko zawczasu zgromadziły poważne zapasy surowców, lecz także podjęły kroki w celu znaczącego przebudowania swojego miks energetyczny, kładąc nacisk na atom, energię odnawialną oraz gigantyczne moce węglowe. Mają też rezerwy w postaci lądowych dostaw z Rosji i Azji Środkowej, choć ich wykorzystanie wymagałoby pilnego wysiłku inwestycyjnego w infrastrukturę przesyłową, którego Pekin do tej pory unikał. W efekcie bardziej niż chińskiemu wrogowi Trump skomplikował życie swym azjatyckim sojusznikom uzależnionym od paliw z rejonu Zatoki Perskiej. W drugiej kolejności zaś Europie, co też może się odbić Amerykanom czkawką.

Cieśniny w centrum uwagi

Waszyngton ma chrapkę na kontrolowanie także innych wąskich gardeł światowej gospodarki. W przypadku Kanału Panamskiego – plan jest niemal w pełni zrealizowany. Gorzej z Kanałem Sueskim i zamykającą drugi koniec drogi przez Morze Czerwone cieśniną Bab-al-Mandab, bo tu do pełni szczęścia potrzeba nie tylko spacyfikowania rebeliantów z ruchu Hutich (co akurat jest ściśle związane z pozbawieniem ich irańskiego wsparcia), lecz także wyparcia chińskich wpływów z Dżibuti, Somalii, Etiopii i Erytrei, a to już zupełnie inna opowieść, na razie daleka od happy endu. I chyba bez gotowego scenariusza po stronie amerykańskiej.

Z kolei w przypadku Cieśniny Gibraltarskiej pewnym sukcesem zostały ostatnio uwieńczone długotrwałe podchody USA do zacieśnienia współpracy z Marokiem (porozumienie o „mapie drogowej”). Jednocześnie Trump traci jednak Hiszpanię, która ostentacyjnie ociepla swe relacje z Chinami – a na horyzoncie pojawia się ryzyko, że Amerykanie mogą mieć trwały problem z dalszym wykorzystaniem baz Rota i Morón, akurat kluczowych punktów logistycznych dla operacji na Bliskim Wschodzie.

I wreszcie cieśnina Malakka, bo-
daj jeszcze ważniejsza dla światowej gospodarki niż Ormuz, bo płynie przez nią aż 60 proc. paliw dostarczanych do Chin drogą morską, a ponadto lwią część eksportu towarów z ChRL, co łącznie przekracza 20 proc. wolumenu światowego transportu morskiego. Stany Zjednoczone mają tu bazę w rejonie Singapuru, ale wciąż usiłują zdobyć sobie nowe, strategiczne przyczółki. Dobrym sygnałem jest bez wątpienia niedawne podpisanie porozumienia o współpracy obronnej z Indonezją, tyle że podobnie jak w przypadku Maroka to dopiero ramy, które trzeba będzie zmuśnić wypełnić treścią. Tymczasem dru-

gie ważne państwo brzegowe, czyli Malezja, właśnie ciężko obraziła się na USA z powodu ich polityki celnej i oficjalnie uznała za nieważne dwustronne porozumienie z października 2025 r.

To wszystko oznacza, że dzisiejsze narracje oddanych fanów Donalda Trumpa o tym, że serią swych ostatnich działań jakoby „chwycił chińską gospodarkę za gardło”, można na razie włożyć między bajki. Niestety, bo cel niewątpliwie złośliwy i w dodatku zbieżny ze strategicznymi interesami całego Zachodu. Problem w tym, że wykonanie jak na razie raczej amatorskie. Jak widać, myślenie życzeniowe i propaganda nie zastępują porząd-

nej pracy wywiadowczej i sztabowej. Konflikty militarne zaś niekoniecznie wygrywa ten, kto jest liczniejszy, bogatszy i bardziej zaawansowany technologicznie, lecz nierzadko ten, kto popełnia mniej błędów na poziomie strategicznym i operacyjnym, a zwłaszcza rozsądniej gospodaruje swymi atutami. Akurat Amerykanie powinni o tym pamiętać, bo sami odebrali już w tej kwestii parę bolesnych lekcji. ©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Nacomi Group przyspiesza globalną ekspansję. Inwestycje i konsekwentna strategia wzrostu

Nacomi Group realizuje ambitny plan rozwoju, oparty na dynamicznej ekspansji międzynarodowej, rozbudowie zaplecza produkcyjnego oraz długofalowym wzmacnianiu marek. O kierunkach działań i wyzwaniach rynkowych mówi Mirosław Gawliński, Dyrektor Zarządzający spółki.

Ekspansja zagraniczna jako kluczowy kierunek rozwoju

Rozwój eksportu stanowi dziś jeden z najważniejszych filarów strategii Nacomi Group. Obecnie sprzedaż zagraniczna odpowiada za około 30% przychodów, jednak w horyzoncie trzech lat spółka planuje osiągnąć równowagę między rynkiem krajowym a eksportowym.

– Naszym celem jest zbilansowanie sprzedaży w kraju i za granicą – podkreśla Mirosław Gawliński.

Zmiany geopolityczne, w tym niestabilność na Bliskim Wschodzie, skłoniły firmę do dywersyfikacji kierunków rozwoju. Obecnie Nacomi koncentruje się na rynkach Europy Południowej oraz Ameryki Południowej, które postrzegane są jako bardziej stabilne i perspektywiczne. Kluczowym krokiem było uruchomienie biura w Barcelonie, pełniącego funkcję centrum sprzedażowego i hubu dla dalszej ekspansji.

Spółka rozwija lokalne struktury dopasowane do specyfiki poszczególnych rynków, zamiast kopiowania jednego modelu operacyjnego.

Inwestycje i skalowanie działalności

Miniony rok upłynął pod znakiem intensywnych inwestycji. Nacomi przeznaczyło około 15 mln zł na rozwój mocy produkcyjnych, zwiększając je o 50%, co stworzyło fundament pod dalszy wzrost sprzedaży.

– Najpierw musieliśmy zbudować odpowiednie zaplecze produkcyjne, aby móc realnie zwiększać skalę działalności – wskazuje Dyrektor Zarządzający.

Równolegle realizowana jest inwestycja w nowoczesny magazyn o wartości około 10 mln zł, który zwiększy pojemność o 3 tys. miejsc paletowych. To odpowiedź na rosnącą niestabilność łańcuchów dostaw i potrzebę utrzymywania większych zapasów.

Automatyzacja i robotyzacja procesów – zarówno produkcyjnych, jak i logistycznych – pozostają jednym z kluczowych kierunków rozwoju. Pozwalają ograniczać koszty operacyjne przy rosnących kosztach pracy, a jednocześnie zwiększają efektywność i skalowalność biznesu.

Silne marki i konkurencyjność na wymagającym rynku

Rynek kosmetyczny staje się coraz bardziej konkurencyjny i podlega procesom konsolidacyjnym. Nacomi Group konsekwentnie stawia jednak na rozwój organiczny i budowanie własnej pozycji rynkowej. Kluczowym wyróżnikiem pozostaje jakość produktów przy zachowaniu przystępnej ceny.

Nacomi



– To właśnie jakość pozwoliła nam zdobyć zaufanie klientów i dynamicznie się rozwijać – podkreśla Gawliński.

Spółka rozwija dwie główne marki: Nacomi, kierowaną do bardziej świadomego konsumenta, oraz Fluff – adresowaną do młodszego pokolenia. Strategia zakłada obecność w segmencie średnim z ambicją stopniowego przesuwania się w stronę premium.

Równocześnie firma inwestuje w innowacje – zarówno w obszarze produktów, jak i procesów. W warunkach rosnących kosztów surowców i pracy kluczowe staje się łączenie rozwoju oferty z optymalizacją działalności.

– Nie możemy pozwolić sobie na stagnację – rozwój i efektywność muszą iść w parze – dodaje.

Stabilne fundamenty i przygotowanie do dalszego wzrostu

Pod względem finansowym ubiegły rok przyniósł stabilizację, będącą efektem prowadzonych inwestycji oraz reorganizacji produkcji. Spółka utrzymała jednocześnie wysoką rentowność, co stanowi solidną bazę do kolejnego etapu rozwoju.

Kluczowym wyzwaniem na najbliższy okres jest pełne wykorzystanie zwiększonych mocy produkcyjnych poprzez rozwój sprzedaży i struktur handlowych. W planach są dalsze inwestycje w marketing oraz rozbudowa zespołów, w tym możliwe otwarcie biura w Warszawie.

– Nie dążymy do krótkoterminowych skoków sprzedaży. Naszym celem jest budowa stabilnej, silnej i rozpoznawalnej marki – podsumowuje Mirosław Gawliński, Dyrektor Zarządzający Nacomi Group Sp. z o.o.

Bartosz Parchoniuk

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>

Wybuchowe media

Na platformach społecznościowych Irańczycy pokonali Donalda Trumpa w jego własnej grze. Publikowane przez nich filmiki umiejętnie pogrywają na nastrojach społecznych w USA, odciągając uwagę od brutalności reżimu ajatollahów

Karolina

Wójcicka

Treści mają być zabawne, ironiczne i utrzymane w estetyce bliskiej generacji Z. Najlepiej, by punktowały błędy Waszyngtonu i Tel Awiwu, a jednocześnie ośmieszały ich przywódców. Mogą się opierać na dezinformacji – prawda nie ma większego znaczenia.

To założenia, które wyznaczają sposób działania irańskich polityków i dyplomatów w mediach społecznościowych. Weźmy np. bardzo aktywne w ostatnich miesiącach konto ambasady Iranu w RPA na portalu X. W kwietniu pojawiło się tam wygenerowane przez sztuczną inteligencję nagranie, na którym Trump – ubrany jak gwiazdka rocka z lat 80. – śpiewa własną wersję utworu „Voyage Voyage” zespołu Desireless, w której słynny refren zastępuje słowami „blokada, blokada”. – Nigdy się nie poddam. Cieśnina Ormuz musi zostać zamknięta, blokada, blokada. W mojej głowie tylko blokada. Proszę, pozwólcie statkom przepłynąć, przynajmniej kilku. Jeśli mnie zablokujecie, to i ja was zablokuję, blokada, blokada – ciągnie. I dalej: – Myślałem, że to będzie proste, blokada. A teraz MAGA i Melania mnie opuszczają.

Buszując po sieci, można się też natknąć na nagrania przedstawiające Trumpa jako Jacka Sparrowa w fikcyjnym filmie wyprodukowanym przez „Pedofliksa”. Albo takie, w których jest figurką LEGO tonącą w stosie dokumentów oznaczonych jako „akta Epstein”. W tle słychać rapujący głos: „sekrety wyciekają, presja rośnie”.

Strategia medialna Teheranu zbiera pozytywne recenzje szczególnie wśród krytyków Białego Domu. „Cholera. Iran właśnie strollował Trumpa na piątkę (...). Nie jestem w ogóle fanem Iranu... Ale to akurat trafia w punkt” – napisał Jon Cooper, strateg Partii Demokratycznej.

Niewinna forma

W pewnym sensie ajatollahowie pokonali przywódcę MAGA w jego własnej grze. Zrozumieli swojego przeciwnika i jego język wizualny. Publikowane przez nich treści ładząco przypominają stylistykę materiałów udostępnianych przez Biały Dom i samego Trumpa na platformie Truth Social. Amerykański pre-

zydent niemal codziennie wrzuca tam prowokacyjne filmiki i grafiki wygenerowane przez AI, które przedstawiają go jako Supermana, papieża, króla zrzucającego fekalia na protestujących, a nawet Jezusa. Ten ostatni obraz wywołał potężną falę krytyki na całym świecie, zwłaszcza ze strony katolików.

Po ataku na Iran na profilu Trumpa pojawiło się m.in. nagranie w stylistyce kojarzącej się z grą Wii Sports, które rozpoczął kursor klikający „start”. Dalej oglądaliśmy dynamiczny montaż ujęć wojennych, w których eksplozje zestawiono z animacjami pokazującymi strącanie kregli.

Wykorzystywanie w propagandzie popkultury nie jest niczym nowym. Sięgnęło po nią choćby Państwo Islamskie w opublikowanym w 2015 r. czterominutowym anglojęzycznym video rekrutacyjnym „No Respite”. Każda klatka przywodziła na myśl estetykę gier wideo: szybki montaż i tempo jak ze zwiastuna filmu akcji. Materiał miał ośmieszać siły koalicyjne i budować wizerunek ISIS jako „aspiracyjnej” marki.

– Stany Zjednoczone i Iran uprawiają propagandę w odmienny sposób i z innych powodów – mówi DGP Emma Briant, badaczka z University of Notre Dame. Jej zdaniem celem administracji USA jest mobilizacja poparcia bazy MAGA oraz młodych mężczyzn. Część memów ma celowo podsycać konflikt ze zwolennikami liberalnych wartości. – Nie uwzględniają one wpływu na międzynarodowych odbiorców – zauważa ekspertka.

Tymczasem Iran kieruje swój przekaz przede wszystkim na zewnątrz. Jak tłumaczy Briant, reżim ma świadomość, że nie cieszy się wiarygodnością na arenie międzynarodowej, dlatego „opakowuje” swoje komunikaty w pozornie niewinnej, kreskówkowej formie. LEGO, jako globalnie rozpoznawalna marka, ułatwia rozprzestrzenianie takich treści. – To także odciąga uwagę od okrucieństwa reżimu, który kilka miesięcy temu zabijał własnych obywateli – dodaje badaczka. Na przełomie roku władze brutalnie stłumiły antyrządowe protesty, w których – według niektórych organizacji – zginęło nawet 20–30 tys. osób.

Irańczycy odczytali nastroje społeczne na Zachodzie – i zaczęli umiejętnie grać na emocjach. W jednym z nagrań George Floyd – czarny Amerykanin zabity w 2020 r. przez białego policjanta, którego śmierć wywołała masowe de-



Kadr z filmiku AI wyprodukowanego przez irańską grupę Wybuchowe Media (Explosive Media)

Uniwersalny język

Narges Bajoghli, antropolożka z Uniwersytetu Johns Hopkinsa, tłumaczyła na konferencji Quincy Institute for Responsible Statecraft, że irański aparat medialny okazał się dużo sprawniejszy w tworzeniu i rozpowszechnianiu tych propagandowych treści niż „tech-brosi”. – Wojny toczą się w dwóch przestrzeniach. Równie ważna jak pole bitwy jest wojna komunikacyjna. Iranowi udało się w dużej mierze zdominować tę przestrzeń, szczególnie w mediach społecznościowych – podkreśliła ekspertka. Jej zdaniem Irańczycy wiedzieli, że nie będą w stanie przebić się do głównego nurtu mediów w USA, które od prawie 50 lat przedstawiają ich kraj jako państwo terrorystyczne rządzone przez religijnych fanatyków. – W Iranie są twórcy treści z pokolenia milenialsów i Gen Z, którzy dostali przestrzeń i zielone światło, by opowiadać tę wojnę globalnej publiczności, zwłaszcza tej online, która po wydarzeniach w Gazie inaczej rozumie świat. To fundamentalnie zmienia sytuację – mówiła Bajoghli.

Za sporą częścią produkcji stoi grupa Akhbar Enfejari („Wybuchowe Media”). Jej przedstawiciele opowiadali zachodnim mediom, że ich zespół liczy mniej niż dziesięć osób i korzysta z estetyki LEGO, „bo to uniwersalny język”. Choć początkowo starali się kreować na młodych aktywistów walczących o dobre imię oj-



FOT. EXPLOSIVE MEDIA/MAT. PRASOWE

bo zakładają, że „to nie jest prawdziwe” – mówi Briant. I dodaje, że kompetencje cyfrowe w zakresie rozpoznawania i przeciwdziałania tego typu przekazom są niższe w przypadku bardziej „tradycyjnej” dezinformacji. To o tyle problematyczne, że nagrania wykorzystujące AI są hiperrealistyczne. Od początku wojny pojawiło się wiele materiałów, które przedstawiały Teheran jako stronę odnoszącą sukcesy, m.in. filmy sugerujące, że reżim zaatakował kluczową infrastrukturę na Bliskim Wschodzie.

Teoretycznie platformy społecznościowe mają narzędzia umożliwiające oznaczanie zmanipulowanych materiałów, ale w wielu przypadkach nie są one stosowane – np. nagranie z Trumpem śpiewającym „Blokada, blokada” nie zostało w ten sposób zaklasyfikowane.

Zalew sloopagandy

Jeszcze niedawno oparte na AI filmiki i obrazy stanowiły jedynie niewielką część dezinformacyjnych materiałów krążących w sieci. W analizie Brookings Institution czytamy, że w 2024 r. materiały generowane przez sztuczną inteligencję nie zaburzyły przebiegu wyborów na świecie. Pojawiały się one we wczesnej fazie wojny w Strefie Gazy, ale odpowiadały za niewielki ułamek fałszywych narracji i obrazów w internecie.

Dziś trendy się zmieniają. Wojna na Bliskim Wschodzie to tylko jeden z frontów, na których masowo wykorzystuje się tzw. sloopagandę, czyli niskiej jakości, wiralowe materiały produkowane przez sztuczną inteligencję, zaprojektowane tak, by łatwo się rozprzestrzeniały. Tegoroczna kampania wyborcza na Węgrzech była pierwszą, w której wykorzystano ją na dużą skalę. W sieci krążyły AI-owe nagrania, które w odróżnieniu od irańskich formatów miały nie bawić, lecz straszyć wizją wojny. W jednym z nich młoda dziewczyna stoi przy oknie, upatrując powrotu ojca z frontu. Po chwili widzimy mężczyznę z zawiązanymi oczami i związanymi rękami, który zostaje zastrzelony. Przekaz był jasny: Péter Magyar wciągnie kraj w wojnę.

W Polsce zjawisko to na razie ma mniejszą skalę, choć potencjał AI można było już zobaczyć w kampanii prezydenckiej w 2025 r., gdy na TikToku wyrastały profile takie jak „Partia PiS przeciwko PO”. Publikowano tam nagrania, w których awatary polityków (m.in. Zbigniewa Ziobry, Jarosława Kaczyńskiego i Anny Marii Żukowskiej) i znanych dziennikarzy zachęcały do głosowania na Karola Nawrockiego i krytykowały Donalda Tuska.

Paweł Zegarow z instytutu badawczego NASK sugerował, że aby poradzić sobie z tym problemem, kluczowe jest przyjęcie regulacji dotyczących szkodliwego wykorzystania AI. Jednocześnie zauważył, że „obecnie państwa członkowskie napotykać liczne trudności w dostosowywaniu prawa do szybko zmieniającej się rzeczywistości technologicznej”. Najważniejsze wyzwania to „nie tylko różnice w implementacji przepisów na poziomie krajowym i w wykrywaniu deepfake’ów, ale także brak odpowiednich narzędzi technologicznych do skutecznego identyfikowania zmanipulowanych treści w czasie rzeczywistym”. ©

czynny, z czasem ujawnili, że rząd jest ich klientem. Filmy Akhbar Enfejari często powstają niemal równoległe do wydarzeń na froncie i od razu trafiają do sieci. Jeden z materiałów dotyczących zawieszenia broni opublikowano jeszcze przed jego oficjalnym ogłoszeniem.

Treści dostają się do szerokiego obiegu nie tylko dzięki oddolnemu zaangażowaniu użytkowników, lecz także – jak wskazują analizy – dzięki wsparciu Moskwy i Pekinu. Badacze Graphika, firmy zajmującej się analizą treści w internecie, udokumentowali liczne przypadki, w których rosyjskie i chińskie media wzmacniały narracje promowane przez Iran. Powtarzające się przekazy m.in. przekonywały o zdolności Iranu do blokowania Cieśniny Ormuz oraz sugerowały, że Trump rozpoczął wojnę, by odwrócić uwagę od akt Epsteina. Analitycy Graphiki opisują swoisty „łańcuch narracyjny”, w którym informacja przechodzi przez kolejne etapy: irańska telewizja państwowa rozpowszechnia zniekształcony przekaz, który potem podejmują influencerzy internetowi i twórcy materiałów opartych na AI, a na końcu rosyjskie i chińskie sieci botów wzmacniają dystrybucję treści w internecie.

Generowane przez sztuczną inteligencję filmiki mogą rodzić poważne ryzyko. – Są zabawne, czasem szokujące, często wydają się znajome. Odwołują się do naszych wartości i kultury. Ludzie tracą czujność, gdy widzą kreskówkę,

Słabnący krupierzy władzy

Izraelska interwencja w Libanie toczy się w cieniu wojny w Iranie. Ale będzie miała równie dalekosiężne skutki, jak konfrontacja USA i Izraela z Teheranem. I może w dużej mierze przesądzić o losie Hezbollahu

Mariusz

Janik

– Zrobię wszystko, co możliwe, żeby pomóc ojca. Nie zawrzemy pokoju – oświadczył z chłodną determinacją młody mężczyzna, patrząc prosto w oczy reporterce Sky News. To samo powtarzało wiele osób w południowym Libanie: tu nie będzie pokoju, a izraelska interwencja nie służy celom militarnym, ale zdobyciom terytorialnym.

Zniszczenia wzdłuż dróg wiodących na południe kraju zaczynają się praktycznie już w południowych dzielnicach Bejrutu. Im dalej, tym rumowisk więcej – a na niektórych stosach pokruszonego betonu i cegieł powiewają niewielkie, zwracające uwagę żółtym tłem flagi Hezbollahu (Partii Boga). Zawieszenie broni, o którego zawarciu w połowie kwietnia poinformował prezydent USA Donald Trump, pozostaje rozejmem dość symbolicznym: nie tylko Hezbollah, lecz tylko libańska armia donoszą o kolejnych bombardowaniach celów w Libanie przez izraelską armię. Rakiety wystrzeliwuje też Hezbollah.

Izraelska armia zajęła pas ziemi wzdłuż granicy izraelsko-libańskiej, a kilkadziesiąt godzin po ogłoszeniu rozejmu ogłoszono ustanowienie „żółtej linii” – takiej jak w Strefie Gazy – której Libańczycy przekroczyć nie mogą. Co oznacza też zakaz wstępu do ponad 50 miejscowości w tym pasie, których mieszkańcy uciekli na północ, gdy zaczęły się walki. Przebieg „żółtej linii” na mapach Sił Obrony Izraela wskazuje też, że armia planuje kontrolować jeszcze większy obszar. I najwyraźniej zamierza też utrudnić działanie bojownikom Hezbollahu, niszcząc infrastrukturę na południu Libanu: drogi, mosty, obiekty publiczne takie jak szkoły i placówki zdrowia, meczety.

Rząd w Bejrucie przygląda się temu bezczynnie, choć właściwiej byłoby powiedzieć: bezsilnie – deklarując konieczność znalezienia dyplomatycznego sposobu rozwiązania konfliktu. – Kroczymy tą ścieżką w przekonaniu, że dyplomacja nie jest wyrazem słabości, ale dowodem odpowiedzialności i poszukiwania dróg wiodących do odtworzenia suwerenności mojego kraju i obrony mojego narodu – perorował kilka dni temu premier Libanu Nawaf Salam. Ale re-

aliów nie da się ukryć: na szosach wiodących na południe ustawiły się już posterunki libańskiej armii, które zwracają wszystkich próbujących tam dotrzeć. W okolice „żółtej linii” przemykają jedynie nieliczni, najczęściej członkowie Hezbollahu.

Nakaz ewakuacji wystawiony przez izraelską armię obejmuje 14 proc. powierzchni kraju. Demonstracje radości w Libanie po zawarciu zawieszenia broni w sporej mierze miały charakter triumfu: oto powstrzymano atak na kraj, a Hezbollah się podniósł. Wojna z Izraelem może to ugrupowanie wydzwignąć z dolki, w który wpadł po tym, jak dwa lata temu znacznie precyzyjniejsza, bardziej wyrafinowana i mniej dotkliwa dla Libańczyków kampania Izraela spustoszyła jego strukturę.

Od kryzysu do eksplozji. I z powrotem

Według opublikowanych w ostatni wtorek przez libańskie władze danych w ciągu niemal dwóch miesięcy wojny zginęło 2454 Libańczyków, a 7658 zostało rannych. I nawet jeśli rozejm okazałby się wstępem do porozumienia, które zakończyłoby walki, liczba ta będzie rosła – służby ratownicze nie dotarły do wszystkich zniszczonych miejsc, pod gruzami budynków czy w bardziej ustronnych miejscach jeszcze długo będą znajdowane kolejne ciała.

Co gorsza jednak, przeszło milion ludzi (stacja Al-Dżazira podaje nawet liczbę 1,2 mln) – w olbrzymiej większości mieszkańców południa kraju – uciekło z domów, gdy na ich podwórka zaczęły spadać pociski. Oznacza to, że co piąty Libańczyk nie ma dziś własnego czy choćby stałego dachu nad głową. Zresztą bombardowania doprowadziły do zniszczenia ponad 40 tys. domów. Premier Salam, który w połowie tygodnia odwiedził Paryż, szukając wsparcia francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona – tradycyjnie prezentującego się jako sojusznik i w pewnej mierze mentor Bejrutu – stwierdził, że jego kraj potrzebuje niezwłocznie 0,5 mld euro, by uporać się z najpilniejszymi skutkami izraelskiej interwencji. W przeciwnym razie kraj stanie w obliczu katastrofy humanitarnej. ▷

Ale tak naprawdę Liban balansuje na krawędzi katastrofy humanitarnej od dobrych kilku lat. „Między 2023 r. a początkiem 2024 r. libańska lira straciła 98 proc. swojej wartości, co uruchomiło proces hiperinflacji i sprawiło, że oszczędności przeciętnej rodziny wyparowały” – konkluduje organizacja humanitarna International Rescue Committee. – „Dziś blisko 80 proc. populacji żyje w stanie ubóstwa, bez dostępu do podstawowej opieki zdrowotnej, energii elektrycznej czy edukacji. Zgodnie z przeprowadzonym przez naszą organizację w grudniu 2025 r. badaniem, 81 proc. gospodarstw domowych, którym grozi eksmisja, zadłużyło się już na pokrycie podstawowych kosztów utrzymania. I miało to miejsce przed obecną eskalacją konfliktu”.

Pominąwszy gwałtowne odbicie gospodarki wraz z końcem wojny domowej u progu lat 90. (można je zilustrować wzrostem PKB w latach 1990–1992, kolejno: o 26,5 proc., 49,4 proc. i 16,4 proc.), Liban dobre czasy przeżył tuż przed Arabską Wiosną (wzrost PKB na poziomie 9,3 proc., 9,1 proc., 10,2 proc. i 8 proc. w latach 2007–2010). Potem było już tylko gorzej. Najpierw w Libanie wyładowało w ciągu kilku lat 1,5 mln uchodźców z ogarniętej wojną domową Syrii, co dla pięćmilionowego kraju stało się gigantycznym obciążeniem.

Prawdziwy cios spadł jednak w 2019 r., gdy załamały się finanse publiczne i niemal z dnia na dzień połowa populacji, zatrudniona w sektorze publicznym, zaczęła mieć kłopoty z wypłatami. Trudności z płynnością rząd w Bejrucie miał już w poprzednich latach, ale umiejętnie ukrywał je szef tamtejszego banku centralnego. Ogłosił plan naprawczego zbiegło się z wybuchem pandemii, która wywołała gigantyczny kryzys służby zdrowia i działających jeszcze instytucji opieki socjalnej. A ciut później nałożyły się na to potężne eksplozje w bejruckim porcie, gdzie wybuchł magazyn wypakowany azotanem amonu, co doprowadziło do zdemolowania połowy miasta; był to największy nienuklearny wybuch w historii świata. Wkroczenie Izraela do Libanu jest gwoździem do tej trumny.

Prawdziwa władza

Apogeum potęgi Hezbollahu przypadło na czasy nadziei, a potem jej stopniowego topnienia. Libańscy szyci, na których przedstawiciela kreuje się – mniej lub bardziej szluznie – ugrupowanie, przez lata byli w polityce i gospodarce swojego kraju grupą upośledzoną. Opisywano ich jako „wieśniaków”, „pastuchów”, „dzieciorobów” czy „analfabetów”. W zabetonowanym systemie politycznym Libanu przewidziano dla nich stosunkowo ostatnie stanowisko przewodniczącego parlamentu. Nie dla nich były pieniądze z budżetu, oficierskie szarże, kariera w libańskim światku biznesowym. – Nie pozwolimy, by ktokolwiek cofnął nas do czasów, kiedy byliśmy czyszcicielami butów – nie przypadkiem takie deklaracje składał na wiecach szejka Hassan Nasr Allah, wieloletni przywódca Hezbollahu, który zginął w 2024 r. w zbombardowanej przez Izrael kryjówece.

Długi proces emancypacji szycitów zaczął się w latach 60., za sprawą duchow-



FOT. WAEL HANZEH/EPA/PAP

Mieszkaniec południowych przedmieść Libanu z flagami Hezbollahu i Iranu.
20 kwietnia 2026 r.

nego Musy as-Sadra – spokrewnionego z irackim klanem ajatollahów i skoligaczonego z irańskim ajatollahem Chomejnim, choć bez jego zapału do przechwytywania władzy w drodze rewolucji. As-Sadr stworzył pierwsze instytucje reprezentujące libańskich szycitów, wykraczające poza klientelistyczny system oparty na kilku nobliwych klanach. Przydał im politycznej siły, wiary w siebie, asertywności – i sprawił, że na południe w końcu zaczęły płynąć pieniądze. Tyle że w 1978 r. zniknął, gdy pojechał do Libii na spotkanie z Mu’ammarem al-Kaddafim. Niektórzy w Libanie wciąż zdają się wierzyć, że może imam żyje w jakimś zapomnianym przez ludzi więzieniu na Saharze.

Z partii, którą po sobie pozostawił – Amalu – wyprysnął u progu lat 80. Hezbollah: bardziej radykalne, bardziej zmilitaryzowane i mocno uzależnione od Iranu skrzydło partii. Nowa organizacja błyskawicznie zawiązała polityczną wyobraźnię (nie tylko) szycitów: zamachy terrorystyczne na zachodnie cele, porwania, wieloletnia pełzająca wojna z Izraelem na południu Libanu. I choć stopniowo zmieniał się charakter działań – przedstawiciele Hezbollahu zaczęli dostawać się do parlamentu i pojawili się na bejruckich salonach, na południu wyrósł system placówek edukacyjnych i zdrowotnych obsługiwanych przez organizację – to o jej postrzeganiu wciąż decydował ten ostatni, militarny aspekt.

W 2006 r. – po kolejnym incydencie na granicy – Izrael postanowił przywołać Hezbollah do porządku. I okazało się to decyzją fatalną: w asymetrycznym starciu o ograniczony zasięg bojownicy byli de facto górą – trudni do wytopienia, atakujący i natychmiast uciekający, zadający ciosy może niemające wielkiego militarnego znaczenia, ale bo-

lesne wizerunkowo. Wycofanie się Izraela po przesłaniu miesiąca walk w całym świecie arabskim odebrano jako triumf Nasr Allaha, a sam szejka stał się na pewien czas najpopularniejszym przywódcą tegoż świata.

I na fali tej popularności Hezbollah okazał się rozgrywającym w libańskiej polityce, dalece bardziej wpływowym niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka. Do 128-osobowego parlamentu od lat 90. co kadencję wchodzi kilku, a od dwóch dekad – kilkunastu przedstawicieli ugrupowania, którzy lądują potem zarówno w rządach jedności narodowej, jak i szerokich koalicjach, m.in. z udziałem Amalu, ale też np. partii reprezentujących libańskich chrześcijan, w tym największej – Wolnego Ruchu Patriotycznego. Gdy w 2022 r. Michel Aoun, lider tej ostatniej partii, kończył kadencję jako prezydent, Hezbollah za-

fundował rodakom ciągnący się ponad dwa lata impas w sprawie powołania jego następcy: 13 razy parlament podchodził do elekcji i wszyscy kandydaci (nieakceptowani przez ugrupowanie) musieli obejść się smakiem. Do przełomu doszło w grudniu 2024 r., kiedy na prezydenta wybrano byłego gen. Josepha Aouna (niespokrewnionego z poprzednikiem) – i zapewne nie był to przypadek.

Tuż przed wyborem Josepha Aouna zakończyła się, trwająca przez kilka tygodni, kampania Izraela przeciw Hezbollahowi. Zaczęła się w połowie września, gdy w kieszeniach członków Hezbollahu zaczęły wybuchać pagery, które lata wcześniej agenci izraelskiego wywiadu podsunęli kupcom ugrupowania, a pod koniec września weszła w apogeum – kiedy zginęła grupa wysokich rangą przywódców Partii Boga: od Nasr Allaha przez dowódcę specjalnych formacji

Zniknięcie imama



Czytaj też

Kassem Hamadé, szwedzki dziennikarz, 14 lat temu popieszył do Libii relacjonować wojnę domową, która zachwiała dyktaturą Mu’ammara al-Kaddafiego. Pracował

w Trypolisie, a gdy fronty zaczęły się przesuwać w pobliże miasta i na ulicach zapanował chaos, jeden z lokalnych informatorów miał go skierować do tajnej kostnicy w pobliżu miejscowego szpitala. – Gdy tylko pracownik kostnicy otworzył komorę, natychmiast uderzyły mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, z kształtu twarzy, koloru skóry i włosów ten mężczyzna przypominał Musę as-Sadra. A po drugie, ten człowiek został zabity – twierdzi po latach reporter. Hamadé zrobił kilka zdjęć i zdołał wyskubać z ciała mężczyzny kilka włosów, które postanowił przekazać do analizy DNA. I zrobił to po powrocie z Libii, tyle że koronny dowód w sprawie – przekazany ludziom, którzy dziś uważają się za spadkobierców as-Sadra – zaginął w niejasnych okolicznościach. Ale Hamadé nie odpuścił. Uplętnęło wiele lat, zanim zainteresował swoim odkryciem BBC. Ta poszła tropem tego, co pozostało – pospiesznie zrobionych fotografii zwłok. Zostały one poddane analizie za pomocą modelu komputerowego opracowanego na University of Bradford. Wykazała ona wysokie, nawet 70-proc. prawdopodobieństwo, że na zdjęciach jest Musa as-Sadr. Na dodatek algorytm skojarzył rysy martwego z rysami krewnych as-Sadra.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Tajemnica, której nikt nie chce wyjaśnić”, DGP nr 177 z 12 września 2025 r.

LIBAN

Hezbollahu Ibrahima Akila, szefa Rady Wykonawczej Haszima Safiego ad-Dina, aż po dowódcę „południowego frontu” Alego Karakiego. Straty ugrupowania były wówczas znacznie większe niż obecnie – szacowano, że 5 tys. członków organizacji zginęło, a 13 tys. zostało rannych. Dziś ofiarami bombardowań są w znacznej mierze cywile.

Ucięcie wyciągniętej ręki

Dwa lata temu badanie Arab Barometer pokazało, że poziom zaufania – czy może bardziej poparcia – dla Hezbollahu wynosi w Libanie 30 proc., przy odsetku osób deklarujących całkowity brak zaufania sięgającym 55 proc. Choć sondaże tego typu są w Libanie rzadkością, to jednak nie da się ukryć, że nawet nie wszyscy szyici stoją murem za Partią Boga. Naim Kassem, który zastąpił Nasr Allaha w roli przywódcy ugrupowania, nie zaprezentował się dotychczas jako lider zdolny porwać tłumy.

Co równie istotne, Hezbollahowi wymknęły się z rąk sznurki, za które pociągał, kontrolując libańską politykę. Wybory, do których ugrupowanie dopuściło – Josepha Aouna na prezydenta w 2024 r., a potem Nawafa Salama na premiera w 2025 r. – można uznać za przejaw słabości. Prezydent jest dziś chwalony w Białym Domu za próby doprowadzenia do rozbrojenia Hezbollahu i nie kryje, że jedyną uzbrojoną formacją w kraju powinna być rządowa armia, premier obiecuje zaś wznowienie śledztwa w sprawie eksplozji w bejruckim porcie i przejęcie kontroli nad całym terytorium kraju (w obecnych realiach to raczej niemożliwe, ale jednocześnie oznacza to likwidację autonomii de facto Hezbollahu na południu Libanu). – Nie szukamy konfrontacji. Wręcz przeciwnie, chciałem jej uniknąć. Ale proszę mi wierzyć, nie damy się im zastraszyć – powiedział o ugrupowaniu Nawaf Salam podczas wizyty w Paryżu.

Taka asertywność libańskich polityków wyraźnie się Partii Boga nie podoba. – Hezbollah służył ramieniem przy wyborze prezydenta tylko po to, by się przekonać, że ucięto mu rękę i wykluczono z procesów decyzyjnych – skarżył się już rok temu lider deputowanych ugrupowania w parlamencie. Można przypuszczać, że irytacja ta dziś musi się przerażać w otwartą wrogość.

Ale trend zniechęcenia do destabilizującej i manipulującej libańską polityką, a na dodatek sponiewieranej i upokorzonej Partii Boga może się właśnie odwracać. „Izraelskie ataki doprowadziły do dewastacji, która wykracza dalece poza struktury Hezbollahu, uderzając w cywilów, infrastrukturę i lokalne społeczności w całym kraju” – pisze na stronach portalu The Conversation John Nagle, politolog z Queens University Belfast. „Wielu z tych, których wojna wyгнаła z domów na południu kraju lub w Ad-Dahiji (południowe przedmieścia Bejrutu, zamieszkałe głównie przez szyitów i niegdyś stanowiące bastion Hezbollahu – red.) coraz krytyczniej odnosiło się do Hezbollahu i nie należało do zwolenników tej wojny. Mimo to stali się celem bombardowań, a ich dzielnice oznaczono jako uprawnione cele ze względu na przyjęte skojarzenie z Hezbollahem”

– dowodzi ekspert, przewidując, że tacy mieszkańcy w obecnej sytuacji zwrócą się ponownie ku ugrupowaniu.

Z kolei magazyn „Foreign Policy” przekonuje w artykule opublikowanym w tym tygodniu, że obecna sytuacja jest dla rządu w Bejrucie „chwila prawdy”. – (Rząd w Bejrucie – red.) powinien zdemontować swoją determinację do rozbrojenia Hezbollahu i zaangażowania się w dialog z Izraelem. A ten ze swojej strony powinien powściągnąć pokusę zintensyfikowania swojej ofensywy i powinien wycofać się z Libanu – dowodziła Mona Yacouban, na co dzień ekspertka ds. Bliskiego Wschodu w waszyngtońskim Center for Strategic and International Studies. Ani pierwszy, ani drugi z wymienionych tu warunków uspokojenia sytuacji w Libanie nie wydaje się realny.

Dwie dusze w jednym ciele

Potencjalny wzrost popularności oraz odbudowa wcześniejszej siły Hezbollahu to jedno. Drugie to odnowienie związku z Iranem. – Nie będzie żadnego rozdzielania między nami. Jesteśmy jak dwie dusze w jednym ciele – powiedział korespondentowi brytyjskiej stacji BBC Wafik Safa, wysoki rangą członek politycznej rady Hezbollahu. – Nie może istnieć Hezbollah bez Iranu ani Iran bez Hezbollahu – skwitował.

Deklaracja ta może być jednak aktem desperacji. Zdaniem publicysty Abdellata E-Menawy'ego czasy, kiedy Hezbollah był kluczową kartą Iranu w regionalnej polityce, minęły. Teheran czuje dziś, że jego największym atutem jest kontrola cieśniny Ormuz – czy też możliwość uniemożliwienia jej innym. Kontrola sytuacji na granicy libańsko-izraelskiej staje się drugorzędna wobec kwestii związanych z negocjacjami nuklearnymi, bezpieczeństwem transportu morskiego czy łańcuchami zaopatrzenia w surowce energetyczne. „Przesunięcie (priorytetów w Teheranie – red.) jest związane ze strukturalnym osłabieniem Hezbollahu. Organizacja jest pod zwielokrotnioną presją: utrata przywództwa, kłopoty finansowe, rosnąca krytyka w samym Libanie” – opisuje El-Menawy. – „Rosnące uzależnienie od pieniędzy i strategii Iranu zredukowało autonomię i elastyczność ugrupowania. Paradoksalnie, zwiększenie kontroli Iranu nad tą organizacją umniejsza jej wartość (w regionalnej grze sił – red.)” – dodaje.

Cóż, może dlatego po izraelskim polowaniu na członków ugrupowania w 2024 r. mogło się wydawać, że pozostali przy życiu liderzy szukają alternatyw dla dotychczasowych patronów z Teheranu. Niektóre deklaracje Kassem interpretowano jako próbę nawiązania relacji z Arabią Saudyjską czy Katarzem. Hezbollah też z pewnym ociąganiem zareagował, gdy Izraelczycy i Amerykanie ruszyli z kampanią bombardowań Iranu – niewykluczone, że w planach obecnego przywództwa była demonstracja solidarności z Teheranem o stosunkowo ograniczonej, symbolicznej skali. Ale dalszy rozwój wydarzeń uniemożliwił im już wycofanie się z pola bitwy, a na dodatek dziś Partia Boga walczy o swoje być albo nie być. ©



Mniej Więcej

Lukasz

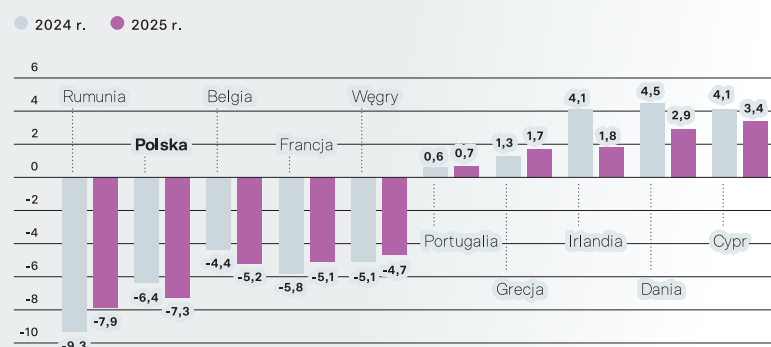
Wilkowicz

Deficyt puchnie. Wydatki większe niż w Szwecji

Polska zajęła w 2025 r. drugie miejsce w UE pod względem relacji deficytu finansów publicznych do PKB. Nasz wynik: 7,3 proc. PKB. Więcej było jedynie w Rumunii: 7,9 proc. – choć tam akurat deficyt był niższy niż rok wcześniej, co oznacza, że polityka fiskalna była zastrzana. Deficyt przekraczający unijny limit 3 proc. PKB odnotowało 10 krajów. Wzrost w porównaniu z 2024 r. miał miejsce w Belgii i Węgrzech. Na plusie było pięć unijnych krajów. Popularna jest teza, że wysoki deficyt u nas to skutek tego, że mamy „szwedzkie wydatki”. Właściwie to u nas były one w ubiegłym roku wyższe niż w Szwecji i pierwszy raz od 1996 r. przekroczyły 50 proc. PKB. ©

Saldo finansów publicznych

(5 państw z najgorszym i najlepszym wynikiem w 2025 r., proc. PKB)



Źródło: Eurostat

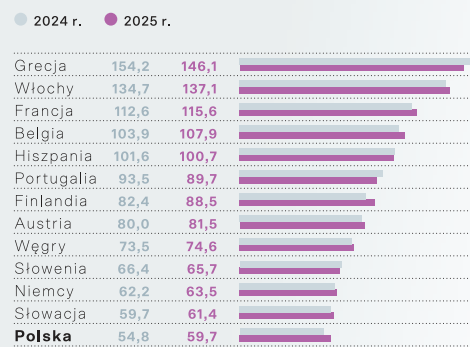
LR ©

Zadłużenie: zasłużony awans

Wysoki deficyt oznacza, że Polska należała do krajów z największym przyrostem długu publicznego w relacji do PKB. Wskaźnik osiągnął 59,7 proc., co w niechlubnym rankingu najbardziej zadłużonych daje nam 13. miejsce – po awansie o dwie pozycje w ciągu zaledwie roku (choć Rumuni mieli większy deficyt, to u nas przyrost zadłużenia był większy; przegoniliśmy też Chorwację). Pięć krajów ma dług publiczny przekraczający równowartość rocznego PKB. Cztery państwa mają dług mniejszy niż 30 proc. PKB. To Estonia, Luksemburg, Dania i Bułgaria (tam jednak miniony rok przyniósł wzrost z niespełna 24 proc. do 29,9 proc.). ©

Dług publiczny

(13 państw z najwyższym wskaźnikiem w 2025 r., proc. PKB)



Źródło: Eurostat

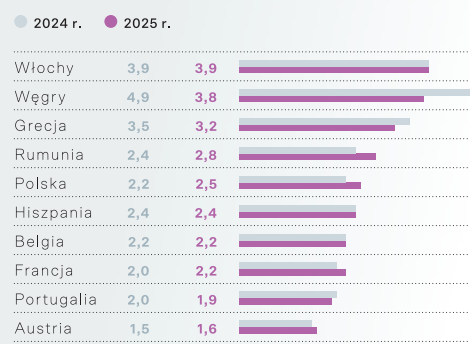
LR ©

Słony koszt długu

Wysoki dług to powód do zmartwienia nie tyle ze względu na pytanie „kto to spłaci?”, co „ile kosztuje obsługa?”. Na wydatki na obsługę zadłużenia ma jednak wpływ nie tylko poziom zadłużenia, lecz także jego oprocentowanie. Tu, zasadniczo, w korzystniejszej sytuacji są kraje należące do strefy euro.

Wydatki na obsługę długu publicznego

(10 państw z największymi wydatkami w 2025 r., proc. PKB)



Źródło: Eurostat

LR ©

Włochy, z zadłużeniem przekraczającym 130 proc. PKB, na jego obsługę przeznaczyły w ub.r. niespełna 4 proc. PKB (deficyt nieznacznie przekroczył tam 3 proc. PKB, co oznacza, że saldo pierwotne było na plusie). Na Węgrzech, gdzie dług w relacji do PKB jest dwa razy mniejszy niż we Włoszech, na obsługę zadłużenia poszło 3,8 proc. PKB. U nas: 2,5 proc. PKB, najwięcej od 2012 r. ©

Dbamy o słuch, bo od niego zależy jakość życia

Profesor Piotr H. Skarżyński ze Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach, ekspert Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), opowiada o problemach, które mamy ze słyszeniem, o metodach skutecznej walki z nimi oraz o unikalnym wydarzeniu, do którego dojdzie wkrótce w Polsce.



FOT. MAGIEJ NOWICKI / MAT. PRASOWE

W dniach 10-13 maja w Kajetanach i w Warszawie odbędzie się międzynarodowa konferencja poświęcona implantom ślimakowym i innym technologiom implantacyjnym – CI 2026, Conference on Cochlear Implants and other Implantable Technologies. To 18. edycja światowego wydarzenia, ale po raz pierwszy w Polsce. Na czym polega jego szczególny charakter?

Od 12 lat staraliśmy się, aby ten kongres odbył się w naszym kraju. Byliśmy już gospodarzami europejskiej edycji poświęconej dzieciom. Teraz w Kajetanach i w Warszawie odbędzie się konferencja, która dotyczy całego aspektu wszczepiania implantów ślimakowych, leczenia głuchoty, odtwarzania słuchu, modelowania słuchu u pacjentów w różnym wieku oraz z różnymi schorzeniami.

Jest to największy kongres w tym zakresie na świecie, a tym samym największy, który nasza specjalizacja, otorynolaryngologia, będzie gościła w Polsce. Wydarzenie będzie okazją m.in. do pokazania dorobku naszego kraju, polskiego wkładu w otolaryngologię i otocirurgię. Bardzo wiele pionierskich operacji zostało przeprowadzonych właśnie tu, w Kajetanach. Eksperci z całego świata będą mieli okazję zobaczyć je teraz na żywo.

Kto przyjedzie do Kajetan?

W kongresie wezmą udział specjaliści ze wszystkich kontynentów. I to mimo że w niektórych krajach sytuacja gospodarcza jest trudna z powodu różnego rodzaju konfliktów zbrojnych. Na szczęście udało się tak poprowadzić wszelkie sprawy związane z formalnościami przyjazdowymi i kalendarzami tych specjalistów, aby mogli przyjechać do Polski, wziąć udział w kongresie i wymienić się swoimi doświadczeniami. Będą to najwybitniejsi eksperci w swoich dziedzinach.

Wszechstronna pomoc

Instytut Fiziologii i Patologii Słuchu jest wiodącym w Polsce instytutem badawczym (kategoria A+) oraz wysoko wyspecjalizowanym szpitalem zapewniającym kompleksową opiekę osobom z uszkodzeniami narządu słuchu, głosu, mowy, równowagi i oddychania. Najważniejszą jednostką Instytutu jest Światowe Centrum Słuchu, w którym jest prowadzona główna działalność naukowa, dydaktyczna i kliniczna. Znajduje się ono w Kajetanach, 20 km od centrum Warszawy. W Instytucie jest wykonywanych ponad 15 tys. procedur chirurgicznych rocznie. W 98,7 proc. operacje są planowane i większość przeprowadzana w dniu przyjęcia pacjenta. Do tej pory wszczepiono ponad 20 tys. różnych typów aktywnych implantów słuchowych, co sytuuje Instytut w światowej czołówce. W przychodniach otolaryngologów, audiologów, foniatrię, logopedzi, surdopedagogów, psychologów, inżynierów klinicznych oraz techników udzielają i przeprowadzają rocznie ponad 200 tys. konsultacji i badań.

Specjalizacje na poszczególnych kontynentach układają się rozmaicie. Na przykład badania genetyczne są domeną Japończyków. Kwestie nowych technologii to Australia, Austria, Stany Zjednoczone. Analizę tego, co nowatorskiego można wprowadzić w krajach z mniejszym produktem krajowym brutto, prezentują kraje Ameryki Południowej. Swoje specjalizacje mają też poszczególne państwa azjatyckie.

Podczas kongresu specjaliści będą się wymieniać doświadczeniami związanymi z technologiami oraz rozmawiać o tym, jak najlepiej wykorzystywać je w poszczególnych specjalnościach z uwzględnieniem lokalnych uwarunkowań i specyfiki poszczególnych krajów.

Co będzie wiodącym wątkiem tegorocznej edycji konferencji?

Myszę, że najważniejszym tematem dyskusji będzie dopasowywanie optymalnych rozwiązań

do zróżnicowanych potrzeb i możliwości pacjentów, ocena tego, które rozwiązanie wybrać – np. kiedy postawić na aparat słuchowy, a kiedy konieczny jest już implant. Kolejna sprawa to wykorzystanie robotów. Mamy wiele dobrych doświadczeń, wiele z nich wiąże się z dużymi nakładami finansowymi. Kilka tygodni temu w Polsce odbyła się pierwsza operacja z użyciem jednego z robotów i to także pokażemy.

Tematem, który budzi bardzo duże emocje, są w pełni wszczepialne implanty słuchowe, czyli takie, których nie widać z zewnątrz. Jesteśmy jednym z pięciu ośrodków na świecie, które przeprowadziły procedurę wszczepień takich implantów. Teraz dysponujemy wynikami ponad 12-miesięcznych obserwacji pacjentów poddanych temu zabiegowi, dzięki czemu zostaną zaprezentowane blaski i cienie takiego rozwiązania wraz z rekomendacją, dla kogo jest ono przeznaczone.

Istnieją również nowe rozwiązania w rehabilitacji związane z wykorzystaniem nowych technologii, narzędzi cyfrowych w taki sposób, aby maksymalizować efekty. W niektórych krajach bardzo duży nacisk jest kładziony na same tylko operacje i trzeba przyznać, że są one realizowane bardzo dobrze. Jednakże później pacjenci często nie mają dostępu do prawidłowo prowadzonej, efektywnej rehabilitacji. Kongres stwarza okazję do wymiany tego rodzaju doświadczeń. Wiodącymi krajami są tu państwa Zatoki Perskiej, Arabia Saudyjska, gdzie istnieje duże oczekiwanie, aby technologie, dostępne przecież finansowo, były użytkowane w sposób jak najbardziej efektywny.

Czy możemy zdefiniować, podsumować, na czym skupia się nowoczesna otorynolaryngologia, w tym audiologia oraz foniatria?

W zakresie otorynolaryngologii mamy takie trzy aspekty. To są kwestie uszu, nosa i gardła. W obrębie uszu i niedosłuchów, oprócz tego, o czym już szerzej powiedziałem, mamy kwestię badań genetycznych oraz wprowadzania komórek macierzystych, które mogą zastąpić te źle funkcjonujące. Są już pewne jednostki chorobowe, w przypadku których taką terapię można zastosować, ale dotyczy to na razie bardzo wąskich grup pacjentów. Wymaga to bardzo odpowiedzialnego podejścia i dyskusji o wynikach. Podczas kongresu prace na ten temat zostaną zaprezentowane przez ośrodki z USA, Hiszpanii oraz Chin.

Nie zapominamy o tym, że czasami niedosłuch jest spowodowany nie tylko przez problemy

PREZENTACJA

związane z uszami, lecz także z górnymi drogami oddechowymi. Mamy tutaj całą gamę możliwości leczenia i aspektów związanych z przeciwciałami monoklonalnymi, które są dostępne jako terapie w leczeniu astmy, chorób górnych dróg oddechowych, różnego rodzaju alergii.

Przedmiotem kongresowych obrad nie będą kwestie foniatryczne, ale dodam, że kilka miesięcy temu w Kajetanach odbyła się jedna z pionierskich operacji odtwarzania głosu. Będą miały miejsce prezentacje poświęcone temu, w jaki sposób zaburzenia głosu mogą być pierwszym krokiem w diagnostyce – w badaniach przesiewowych, w których na podstawie wymowy można rozpoznać, że ktoś ma problem ze słuchem.

Będziemy również mówić o powikłaniach związanych z nowotworami. Agresywne terapie, w tym chemioterapia, konieczne u niektórych pacjentów dotkniętych nowotworami mogą bowiem wpływać także na słuch. Włączamy tu więc kwestie onkologiczne i pytamy, co możemy zrobić, co zaoferować takiemu pacjentowi na różnych szerokościach geograficznych.

Jakie korzyści mają pacjenci z postępu w tych naukach, o których rozmawiamy?

Jeśli chodzi o korzyści dla pacjentów, to często jesteśmy pytani, jak je mierzymy. Bardzo prostym miernikiem jest lepsze rozumienie mowy, w szczególności w szumie, hałasie, w miejscu pracy czy w czasie wolnym podczas spotkań z rodziną czy uprawiania hobby. Poprawa słyszenia wprost przekłada się na to, że pacjenci nie zamykają się w swoich środowiskach, częściej wychodzą do bliskich, znajomych, są bardziej aktywni zawodowo – co przecież wpływa również na gospodarkę. Widzimy zdecydowanie, że osoby, które korzystają z różnych rozwiązań poprawiających słyszenie, są bardzo aktywne zawodowo. Pobierają zatem mniej środków socjalnych, co zmniejsza obciążenia różnych systemów emerytalnych, rentowych czy ubezpieczeniowych.

Wymienię trudny aspekt, o którym często ostatnio się mówi, jakim są zaburzenia kognitywne, poznawcze. Dotykamy tu również kwestii ograniczenia liczby przypadków depresji i innych problemów oraz chorób psychicznych.

To tylko przykłady sytuacji, gdy możemy osiągnąć poprawę jakości życia dzięki trosce o lepszy słuch.

Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu jest wiodącym w Polsce ośrodkiem badawczym i wysokospecjalistycznym szpitalem. Jak podał w niedawnym podsumowaniu 2025 r. Urząd Patentowy RP: „Uczelnie, w tym Uniwersytet Jagielloński, Gdański Uniwersytet Medyczny i Uniwersytet Warszawski, a także kolejna publiczna instytucja badawcza – Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu, stanowią połowę czołowych polskich wnioskodawców w Europejskim Urzędzie Patentowym”. Jakie badania obecnie są prowadzone?

Było to dla nas miłą niespodzianką. Nie spodziewaliśmy się, że nasz dorobek zostanie odzwierciedlony w tego typu statystykach. Współpracujemy z różnymi jednostkami, nie tylko z Polski, lecz także z zagranicy. To efekt chociażby tego, co się wydarzyło podczas pierwszej prezydentury Polski w Radzie Unii Europejskiej w roku 2011. Obecnie prowadzone badania przede wszystkim koncentrują się wokół analitycznych zastosowań cyfrowej medycyny pozwalających wcześniej badać i właściwie diagnozować słuch przy użyciu urządzeń medycznych. Drugi obszar jest związany z ośrodkowymi zaburzeniami przetwarzania słuchowego. Coraz więcej dzieci korzysta z różnego rodzaju urządzeń cyfrowych – smartfonów czy tabletów. Dzieci te (w większości) słyszą dobrze, ale gorzej rozumieją mowę i inne sygnały docierające do nich z zewnątrz. Wychodząc naprzeciw tym potrzebom, stworzyliśmy cały program dedykowany



FOT. MAT. PRASOWE



Chronimy i patentujemy nasze dobra intelektualne. Obejmuje to także modyfikację obecnie dostępnych rozwiązań wszczepialnych. Czyli mówimy już nie tylko o diagnostyce, ale także o chirurgii. Czasami zmiana jakiegoś elementu o milimetr, półtora oznacza znacznie lepszy efekt dla pacjenta

najmłodszym. To nasz produkt eksportowy. Został doceniony w Polsce m.in. nagrodą Polski Produkt Przyszłości, a obecnie z powodzeniem jest implementowany we współpracujących z nami ośrodkach w Azji Środkowej (m.in. w Kirgistanie i Kazachstanie) oraz Argentynie i Brazylii.

Chronimy i patentujemy nasze dobra intelektualne. Obejmuje to także modyfikację obecnie dostępnych rozwiązań wszczepialnych. Czyli mówimy już nie tylko o diagnostyce, lecz także o chirurgii. Czasami zmiana jakiegoś elementu o milimetr, półtora oznacza znacznie lepszy efekt dla pacjenta.

Wspomnę też o niehomogennej części naszej działalności, czyli o rehabilitacji. Mamy różnego rodzaju terapie – ponieważ dotyczą różnych języków, regionów, kategorii wiekowych pacjentów – w których kontekście staramy się, aby pewne rozwiązania również były patentowane. Tak abyśmy potem mogli je dalej rozwijać wspólnie z partnerami. Wykorzystujemy wiedzę i doświadczenia szerokiego grona specjalistów, którzy bardzo często mają fantastyczne pomysły. Łącząc je z praktyką kliniczną, możemy osiągać bardzo dobre wyniki.

Czym jest otorynolaryngologia

Otorynolaryngologia to dziedzina obejmująca rozpoznawanie i leczenie chorób nosa (rynologia), gardła i krtani (laryngologia) oraz uszu (otologia, otiaatria).

Wady słuchu uważa się za jedną z najszybciej rozwijających się chorób cywilizacyjnych. Według raportu WHO do 2050 r. prawie 2,5 mld ludzi na całym świecie – czyli jedna na cztery osoby – będzie miało pewien stopień ubytku słuchu.

A jaka jest skala pomocy świadczonej przez szpital Instytutu?

Wykonujemy kilkanaście tysięcy procedur chirurgicznych rocznie, ale nie byłoby to możliwe, gdyby nie kilkadziesiąt ośrodków współpracujących w Polsce i za granicą – przygotowujących pacjenta, uświadamiających, że można zrobić coś więcej ze słuchem, z górnymi drogami oddechowymi, z głosem. Dzięki temu pacjenci również wiedzą, że gdy po operacji w Kajetanach wrócą do swojego miejsca zamieszkania, będą mieli blisko specjalistę, który będzie w stanie im pomóc. Właśnie dzięki zaangażowaniu ponad tysiąca specjalistów i rehabilitantów możemy efektywnie prowadzić całą ścieżkę pacjenta, co przynosi efekty długoterminowe, a nie tylko w postaci jednorazowego zabiegu.

Zapytam jeszcze, skąd współcześnie biorą się problemy ze słuchem? Które należą do najpowszechniejszych i jak skutecznie można z nimi walczyć?

Problemy możemy podzielić na kilka typów. Pierwszy obejmuje noworodki, w przypadku których wykonywane są badania przesiewowe. Wykrywają one coraz mniejszą liczbę poważnych problemów, mamy bowiem coraz lepiej prowadzone ciąży oraz większą świadomość matek, czego nie robić w ich trakcie. Kiedyś rodziło się ok. trojga dzieci na tysiąc z dużym problemem ze słuchem, w tej chwili są to dwa promile. Następny typ możemy określić jako problemy nabyte. Są one związane m.in. z powiększonym migdałkiem gardłowym czy przebytymi infekcjami i dotyczą dzieci w wieku przedszkolnym, szkolnym. Problemy te dotyczą kilkunastu procent dzieci i często są odwracalne w zakresie operacyjnym czy leczenia zachowawczego.

I wreszcie mamy 75 proc. 70-latków, którzy mają jakiś problem ze słuchem. Słuch w naturalny sposób degeneruje wraz z wiekiem i to jest czas, kiedy trzeba w jakiś sposób interweniować, aby seniorzy nie byli pozostawieni sami sobie, nie żyli w świecie ciszy.

Do tego musimy dodać nieprzewidywalne sytuacje. Chodzi o uszkodzenia związane z hałasem, nabyte, wirusowe – tak jak to było w przypadku COVID-19 – które mogą spowodować problemy niezależnie od naszego wieku. Jak widać, grono potencjalnych pacjentów jest duże, a my się staramy, aby nowoczesne metody leczenia były dostępne dla wszystkich, i to w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia.

Jacek Pochłópień

PARTNER



Świat

Tania siła robocza za rakiety

Formalnie są w Rosji studentami. W praktyce pracują po kilkanaście godzin dziennie, a zarobione przez nich pieniądze trafiają do reżimu w Pjongjangu

Z Joanną

Hosaniak

rozmawia Maria Wiśniewska

Zajmuje się pani prawami człowieka w Korei Północnej. Skąd więc pomysł na raport o finansowaniu jej programu wojskowego? Nasza organizacja od 30 lat zajmuje się problematyką praw człowieka w Korei Północnej. Przez dekady zbieraliśmy świadectwa i dokumentowaliśmy naruszenia, w tym zbrodnie przeciwko ludzkości. W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że samo opisywanie tych naruszeń w gruncie rzeczy nie pokazuje, jak ten system działa i – co kluczowe – jak na siebie zarabia. W ostatnim raporcie postawiliśmy podstawowe pytanie: jak to możliwe, że biedne państwo, które w latach 90. i na początku XXI w. doświadczyło klęski głodu i śmierci milionów ludzi, jest w stanie inwestować w program atomowy i rozwój rakiet balistycznych, jedne z najdroższych i najbardziej zaawansowanych technologii wojskowych, które wymagają ciągłego doskonalenia?

No właśnie – jak? Trzeba zrozumieć, że w Korei Północnej naruszenia praw człowieka to nie są indywidualne przypadki, lecz sposób na podtrzymanie systemu. Od początku swojego istnienia reżim wykorzystuje niewolniczą pracę i represje, by zdobywać pieniądze na funkcjonowanie państwa i programy zbrojeniowe. Więźniowie i osoby przetrzymywane w obozach pracy zajmują się produkcją towarów na eksport,

co pozwala Pjongjangowi pozyskiwać zagraniczne waluty. To bardzo podstawowe wyroby, w tym tekstylia i surowce, takie jak węgiel, złoto czy minerały. Poza tym przemysł w Korei Północnej leży, bo większość środków inwestuje się w tzw. drugą gospodarkę – tak władza nazywa zbrojenia. Towary produkowane w warunkach pracy przymusowej trafiają na globalne rynki, często pod etykietą „Made in China”, co zacierza ich rzeczywiste pochodzenie i utrudnia wykrycie tego procederu.

W raporcie mowa o pracy przymusowej nie w Korei Północnej, lecz w Rosji. Tak – eksport pracowników to kolejny element opierający się na wyzysku gospodarki Korei Północnej. Pjongjang rozwinął go w latach 90., po upadku bloku komunistycznego. Należące do niego kraje, w tym Polska, przestały wtedy wspierać finansowo Koreę Północną. Jej jedynym sposobem na przetrwanie stało się zadłużenie u Rosji i Chin. Aby spłacać dług, w latach 90. reżim w Pjongjangu zaczął wysyłać pracowników na Syberię, m.in. do wyrębu drzew. Korea Północna ma system, który potrafi bardzo szybko dostosować się do możliwości i potrzeb rynku. W pewnym momencie reżim zdał sobie sprawę, że mógłby delegować ludzi do bardziej opłacalnych sektorów, np. do budownictwa. Pracę Koreańczykom z Północy zaczęły zapewniać m.in. Rosja, kraje afrykańskie i państwa Bliskiego Wschodu, w których dużo się budowało.

Do czasu. W 2017 r. Rada Bezpieczeństwa ONZ przyjęła

dwie rezolucje, które zabroniły przyjmowania pracowników z Korei Północnej i nakazały ich odesłanie. Ostatni pracownicy opuścili Polskę i inne kraje europejskie do 2019 r. I co się potem stało? Niemal natychmiast pracownikom zaczęto wystawiać wizy studenckie i stażowe do Rosji. W ciągu kilku miesięcy, jeszcze w 2019 r., wielu z nich wróciło tam ponownie. Teraz pod przykrywką wysła się cywilów, żołnierzy czy personel powiązany z resortami siłowymi. I jedni, i drudzy formalnie funkcjonują jako studenci i są pod nadzorem służb bezpieczeństwa. Żołnierze i personel organów zbrojeniowych podlegają bezpośrednim rozkazom wojska. Firmy, które wysyłają za granicę pracowników, bardzo często należą do organów bezpieczeństwa bądź struktur takich jak odpowiedzialne za program nuklearny Biuro 131 czy Departament 93 Drugiego Komitetu Gospodarczego, który od lat zajmuje się eksportem uzbrojenia. Personelowi odcina się kontakt z otoczeniem, a tym samym możliwość uzyskania pomocy, gdyby chcieli uciec. Tylko wyznaczone osoby mogą nawiązywać znajomości biznesowe albo wychodzić na zakupy. W praktyce pracownicy nie otrzymują też wypłaty. Cywile mogą liczyć na 10 proc. swojej pensji, a żołnierze, ponieważ są pod rozkazem, w ogóle nie otrzymują wynagrodzenia. Co najwyżej dostają kieszonkowe, np. na papierosy. Zarobione przez nich pieniądze idą prawie w całości do państwa. Co więcej, na każdego pracownika nakładane są miesięczne normy finansowe.

Jak duże są to pieniądze? Do 2019 r. były to kwoty rzędu 1,5–2 tys. dol. W trakcie pandemii system eksportu siły roboczej trochę się załamał. Teraz te kwoty są już większe – szacujemy je na 2–2,5 tys. dol. miesięcznie. Żeby wyrobić taką pensję, pracownicy często muszą pracować nawet 20 godzin dziennie siedem dni w tygodniu. Jeżeli mamy 15–30 tys. osób, to mówimy o kilkuset milionach dolarów rocznie, które trafiają do reżimu. W trakcie prac nad raportem zidentyfikowaliśmy 108 firm handlu zagranicznego powiązanych z Koreą Północną, które są zarejestrowane w Rosji. Często występują one w oficjalnych systemach pod zrusyfikowanymi nazwami – np. północnokoreański Kwangbok funkcjonuje jako Kvanbok. Firmy te mają wspólne adresy, numery telefonów, adresy e-mail czy właścicieli. Najczęściej zarejestrowane są na obywateli Korei Północnej, ale w wielu przypadkach pojawiają się również rosyjscy partnerzy. Ci ostatni wkraczają, gdy pojawia się jakiś problem, np. gdy urząd skarbowy wszczyna dochodzenie z powodu niezapłaconych podatków. Zanim firma zostanie zamknięta, pieniądze są pod różnymi pretekstami wysyłane do Rosjan, którzy uczestniczą w tym procederze. A zaraz potem wyrasta nowa.

Na czym jeszcze polega współpraca z Rosją? Spora grupa północnokoreańskich pracowników trafia do dużych rosyjskich koncernów. Formalnie znowu pretekstem są szkolenia zawodowe lub programy edukacyjne, ale w praktyce chodzi oczywiście o pracę, często wykonywaną w nieludzkich warunkach. Wynagrodzenie przekazywane jest w formie „stypendiów”, które pozwalają ominąć sankcje. Z danych finansowych wynika, że tylko między październikiem 2023 r. a czerwcem 2025 r. przez ten system, obsługiwany przez fasadową uczelnię Sodejstwię (ros. pomoc), przepłynęło ponad 2,7 mld rubli (ok. 30 mln dol.). Pieniądze te pochodziły od co najmniej 76 rosyjskich przedsiębiorstw, które formalnie sponzorowały „stypendia”. Świadczenia te są zresztą niewspółmiernie wysokie – wynoszą od ok. 18 tys. do nawet 250 tys. rubli miesięcznie. Przeciętnie na rosyjskich uczelniach student dostaje niespełna 4 tys. rubli. „System studencki” stanowi ogromną część całego mechanizmu i przez cały czas się rozrasta. W ostatnich latach rośnie liczba wizyt w Rosji przedstawicieli północnokoreańskiego ministerstwa edukacji, a za każdą kolejną idą rozszerzanie współpracy i nowe programy. Władze lokalne, szczególnie na Dalekim Wschodzie, wspierają ten proces, bo wiąże się z inwestycjami i dostępem do taniej siły roboczej, która skurczyła się w Rosji po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę. Przypuszczamy, że koreańskich pracowników jest dziś tam od 30 do 50 tys. Zarobione przez nich pieniądze w części trafiają do Rosjan, w części do Korei Północnej. Trudno uwierzyć, by Moskwa nie wiedziała o tym procederze, bo uczest-

WYWIAD

niczą w nim także osoby z kręgu Władimira Putina. Na przykład pieniądze ze „stypendiów” są przekazywane Korei Północnej za pośrednictwem banku Agora. Jedną z jego kluczowych udziałowców to Olga Awierjanowa, córka Jurija Awierjanowa, doradcy Dmitrija Miedwiediewa. Wcześniej pełnił on funkcję pierwszego zastępcy sekretarza Rady Bezpieczeństwa, organu doradczego prezydenta, w którym odpowiadał m.in. za sprawy Syberii i Dalekiego Wschodu.

Jakie rosyjskie firmy zatrudniają Koreańczyków?

Często nie są formalnie związane z przemysłem obronnym – to np. przedsiębiorstwa produkujące artykuły rolnicze czy mięso. Teoretycznie nie uczestniczą więc w wojnie przeciwko Ukrainie, a przez to nie są obłożone sankcjami i nadal współpracują z rynkiem Unii Europejskiej. Nie zwraca się uwagi na to, że zyski z pracy Koreańczyków z Północy inwestowane są przez Pjongjang w produkcję broni, którą z kolei kupuje Rosja, by atakować później Ukrainę.

Koło się zamyka.

To wszystko sprawia, że reżim się umacnia, a jego potencjał wojskowy rośnie. W raporcie pokazujemy, że aktywność północnokoreańskich firm za granicą nasila się w momentach, gdy władza potrzebuje więcej funduszy na rozwój programu zbrojeniowego. Widać to było już na początku lat 2000. Rozwój działalności firm w latach 2003–2005 poprzedził pierwszy test nuklearny w 2006 r. Kolejna intensyfikacja przypada na lata 2010–2016. Wtedy zaczyna się masowe wysyłanie pracowników. To okres dynamicznego rozwoju programu nuklearnego i testów pocisków balistycznych. Podobny mechanizm obserwujemy dzisiaj, zwłaszcza od wybuchu wojny w Ukrainie. Działalność tych firm znów wyraźnie przyspiesza. Wysyłani są kolejni pracownicy, pojawiają się nowe firmy typu joint venture między Koreą Północną a Rosją. To wskazuje na rosnące zapotrzebowanie na finansowanie produkcji broni.

Jeśli wojna w Ukrainie się zakończy, to Korea Północna straci źródło zarobku?

System ma długie macki i nie ogranicza się do Rosji. Rozwija powiązania także z innymi krajami. Mamy dowody na to, że irańskie banki działające w Rosji uczestniczą w transferach finansowych z Koreą Północną. Północnokoreańska broń jest od lat eksportowana do Iranu oraz takich organizacji jak Hezbollah w Libanie czy Huti w Jemenie. Podobna sytuacja jest w Afryce, gdzie funkcjonują struktury powiązane z dawną Grupą Wagnera. Za pośrednictwem Rosji jednostki te dokonują płatności w złocie na rachunki Korei Północnej. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że ma to bezpośrednie znaczenie także dla Polski. Jako kraj graniczący z Ukrainą znajdujemy się w strefie potencjalne-

go ryzyka. Jeśli sytuacja bezpieczeństwa w regionie uległaby destabilizacji, Korea Północna mogłaby być jednym z dostawców broni wykorzystywanej przeciwko nam. Poza tym już na przykładzie Iranu widzimy, jak odległe konflikty destabilizują Europę.

Jaka więc powinna być nasza odpowiedź?

Jednym z największych problemów jest brak realnego monitorowania łańcuchów dostaw – zwłaszcza tych, które przechodzą przez Chiny. Polska i inne kraje Unii Europejskiej rozwijają współpracę gospodarczą z Państwem Środka, pojawiają się nowe inwestycje, fabryki. Tymczasem

część produktów, które trafiają na europejski rynek jako chińskie, w rzeczywistości może pochodzić z pracy przymusowej Koreańczyków z Północy. Konieczna jest kontrola warunków, w jakich są produkowane. Towary te nie tylko wiążą się z łamaniem praw człowieka, ale też podtrzymują międzynarodowe sieci biznesowe współpracujące z reżimem oraz służą finansowaniu rozwoju zbrojeń. To ważne w kontekście polityki Unii Europejskiej wobec Rosji i wojny w Ukrainie. Trudno mówić o spójnej strategii, jeśli z jednej strony nakłada się sankcje, a z drugiej nie kontroluje się źródeł finansowania systemów, które te konflikty podtrzymują. ©



FOT. TOMASZ WIKTOR/IPAP

Joanna

Hosaniak

wicedyrektorka Citizens' Alliance for North Korean Human Rights. Specjalizuje się w analizie sytuacji w obozach koncentracyjnych w Korei Północnej. Jest współautorką raportu „Financing Oppression and Weapons Program, Russia-North Korea Joint Venture Through Military and Security Forces”

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Bel-Pol Lider polskiej dystrybucji drzwi i podłóg świętuje 35 lat innowacji i jakości



Firma Bel-Pol Sp. z o.o. – największy dystrybutor drzwi i podłóg w Polsce, obchodzi w tym roku jubileusz 35-lecia działalności. Od trzech dekad łączy tradycję z nowoczesnością, oferując klientom pełen pakiet usług – od doradztwa, przez pomiar, po dostawę i montaż.



Siła rodzinnych wartości w biznesie

Bel-Pol Sp. z o.o. to firma rodzinna, której właścicielami są dwie rodziny: Mielniczyn i Pankiewicz. Model zarządzania oparty na strukturze rodzinnej sprzyja sprawnemu podejmowaniu decyzji oraz utrzymaniu bliskich relacji z klientami. Sieć obejmuje 116 własnych i franczyzowych sklepów, wspieranych przez 11 centrów logistycznych rozmieszczonych w całej Polsce oraz własną flotę samochodową, co zapewnia bly-

skawiczne dostawy do Klientów indywidualnych i ponad 600 sklepów zaopatrujących hurtowo. Bel-Pol Sp. z o.o. wyróżnia się pełnym pakietem usług – doradztwem, pomiarem, dostawą i profesjonalnym montażem. Portfolio obejmuje produkty renomowanych polskich marek, od segmentu premium po przystępne cenowo, zawsze przy zachowaniu wysokiej jakości. Firma działa również szeroko w obsłudze w podłogi i drzwi największych inwestycji w kraju.



Wsparcie dla architektów i rozwój cyfrowy

Firma posiada własny dział współpracy z architektami, prowadząc programy edukacyjne i doradcze. E-commerce rozwija od 2019 r., oferując pomiar online, wysyłkę próbek i montaż w domu, nawet bez wizyty w salonie. To połączenie tradycji i cyfrowych rozwiązań pozwala firmie zachować bliskość relacji z klientem, a jednocześnie działać sprawnie i elastycznie. Firma planuje selektywny rozwój sieci sklepów w mniej nasyconych regionach Polski, wykorzystując potencjał nowych lokalizacji i centrów handlowych.

Bel-Pol pozostaje jednym z liderów polskiego rynku wyposażenia wnętrz, wyróżniając się jakością produktów i usług oraz możliwością realizacji pełnych projektów wnętrz. „Firma jest gotowa odpowiadać na potrzeby każdego klienta – od pierwszego mieszkania z rynku wtórnego po prestiżowe inwestycje” – podkreśla Wojciech Slatan, Dyrektor Sprzedaży Detalicznej.

Aneta Żych

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>



Elon Musk

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

Fiasko piły łańcuchowej

Działania DOGE i Elona Muska przejdą do historii jako najbardziej brawurowa próba zreformowania państwowej administracji, a przy tym bezcenna lekcja, jak się do tego nie zabierać

Eliza

Sarnacka-Mahoney

korespondencja z USA

Niedługo minie już rok, odkąd de facto zakończył pracę Departament Efektywności Rządowej – Department of Government Efficiency (DOGE) – który miał wyczyścić amerykańską budżetówkę z oszustw oraz korupcji. Pełnych skutków działań kierowanej (do maja 2025 r.) przez Elona Muska instytucji nie znamy, bo część problemów z pewnością objawi się za jakiś czas. Na razie tym wszystkim, którzy kontaktują się z publicznymi instytucjami, dają się we znaki ich przetrzebione kadry, okrojone budżety oraz chaotyczna modernizacja systemów informatycznych.

Nie wiadomo też, co z rozliczeniami „specjalistów od pił łańcuchowych” – by odwołać się do symbolu DOGE. Rząd Donalda Trumpa zapewnia im silną ochronę prawną, zaś bogactwo Muska dodatkowo pomaga mu zachowywać nietykalność. Ale pewne jest: działania DOGE przejdą do historii jako najbardziej brawurowa próba zreformowania państwowej administracji, a przy tym bezcenna lekcja, jak się do tego nie zabierać.

„Mordercy o twarzach niemowlaków”

DOGE był wspólnym dziełem Donalda Trumpa i Elona Muska, na początku łączono z nim też przedsiębiorcę i republikanckiego polityka Viveka Ramaswamy’ego. Ogłoszony w czasie kampanii Trumpa został sprzedany wyborcom jako projekt z pełną gwarancją sukcesu, bo kto jak kto, ale wizjoner pokroju Muska już nieraz dokonywał rzeczy niemożliwych.

Dekret powołujący DOGE do życia Trump podpisał 20 stycznia 2025 r., w dniu swojej drugiej inauguracji, zaś w dokumencie znalazł się zapis, że biuro zakończy działalność po półtora roku (oficjalnie DOGE został rozwiązany w listopadzie 2025 r., choć przestał działać kilka miesięcy wcześniej). Warto przypomnieć, po pierwsze, że DOGE nigdy nie stał się częścią rządu, bo o tym decyduje Kongres; i po drugie, Musk otrzymał od Trumpa wolną rękę, co tłumaczy, dlaczego tak trudno było sprawować nad

tym ciałem kontrolę. Jasny od początku był jedynie cel DOGE: znalezienie w federalnym budżecie 2 bln dol. oszczędności i ścięcie liczby „federalnych biurokratów” o trzy czwarte. Rejestr dokonań, nazwany „ścianą rachunków”, miał być dostępny dla wszystkich i uaktualniany na stronie doge.gov oraz oficjalnym koncie DOGE na platformie X.

Do pracy w DOGE Musk zaprosił głównie biznesowych współpracowników, w tym prawą rękę z Tesli i SpaceX Steve’a Davisa, członka zarządu Tesli Antonio Graciosa i byłego szefa firmy Broadcom Toma Krause’a. „Brudną robotę” w terenie powierzył za to osobom nieznanym i bardzo młodym. I tak w dwudziestokilkuosobowym zespole odpowiedzialnym za modernizację systemów informatycznych największych rządowych instytucji, jak urząd skarbowy (IRS), zakład ubezpieczeń społecznych (Social Security, SS) czy Biuro ds. Weteranów (VA), większość stanowiły osoby poniżej 25. roku życia. Żadna nie miała doświadczenia pracy w administracji federalnej ani – co stało się głównym źródłem popełnianych przez nich błędów – zrozumienia natury i celu pracy tego typu instytucji.

Symbolem „gangu morderców o twarzach niemowlaków”, jak ochrzcił ich 6 lutego 2025 r. brytyjski „The Times”, stał się 19-letni Edward „Big Balls” Coristine. Młodzieniec miał za sobą ledwie trzy-miesięczny staż w NeuroLinku – jednej z firm Muska, a wcześniej staż w spółce zajmującej się cyberbezpieczeństwem, z której go zresztą wyrzucono, bo szpiegował dla konkurencji. Musk powierzył Coristine’owi nadzór nad reformą systemu rządowych płac, co oznaczało m.in. dostęp do wrażliwych danych milionów osób. W sierpniu 2025 r. Charles Borges, szef działu ds. ochrony danych SS, zgłosił swoim przełożonym, że ma podstawy sądzić, iż Coristine i jego podwładni skopiowali wrażliwe dane na niezabezpieczony serwer w chmurze.

Tylko w pierwszych dwóch miesiącach działalności DOGE zredukowało prawie 90 tys. etatów w 17 agencjach. Choć później sądy zablokowały wiele z tych zwolnień, do dziś federalna administracja skurczyła się o 350 tys. pracowników – o ok. 9 proc. w porównaniu ze stanem sprzed 20 stycznia 2025 r.

DOGE najagresywniej potraktował te instytucje, wobec których Biały Dom żywi największą niechęć. Agencja Ochrony Środowiska straciła co trzeciego pracownika i m.in. granty na monitorowanie stanu jakości powietrza w rejonach borykających się z wysokim zanieczyszczeniem oraz wynikającą z tego wyższą zachorowalnością lokalnej populacji. Agencja ds. Mieszkalnictwa i Rozwoju Urbanistycznego, odpowiedzialna m.in. za przydział mieszkań komunalnych oraz pomoc bezdomnym, straciła 34 proc. pracowników oraz 3 proc. budżetu. Nie ma na razie ogólnokrajowych danych, jak te redukcje wpłynęły na kryzys bezdomności w USA, ale raporty miejscowe za 2025 r. skłaniają do wniosku, że zwłaszcza w rejonach zarządzanych przez republikanów, w których cięciom federalnym towarzyszyły oszczędności na poziomie lokalnym – jak np. w Houston w Teksasie czy w Tulsie w Oklahomie – kryzys ten się pogłębił.

W marcu Fundacja na rzecz Edukacji i Obrony Praw Osób z Niepełno-

sprawnością (DREDF) przedstawiła raport, jak największa w historii redukcja etatów w SS i dążenie do zastąpienia pracowników przez AI wpłynęły na życie osób z niepełnosprawnością, z których wiele egzystuje w skrajnym ubóstwie i potrzebuje wsparcia. – Zmiany wprowadzone przez DOGE wzniosły przed ludźmi starającymi się o przyznanie lub utrzymanie świadczeń szeregi nowych barier. O wiele trudniej jest im teraz skontaktować się z kimkolwiek, bo połączenia przekierowywane są do biur, które nie są w stanie im pomóc. Wnioskodawcy zmuszani są do korzystania z serwisów online, choć niepełnosprawność często uniemożliwia tym osobom obsługę komputera, o ile w ogóle mają do niego dostęp. Nasze badanie wykazało, że wydłużył się też czas rozpatrywania wniosków, częściej są one odrzucane, a na każdym etapie dochodzi do dużo większej liczby błędów – mówi mi prof. Matthew Borus z Uniwersytetu Bingham w Nowym Jorku, współautor raportu.

Śmierć nie czeka

Najwymowniejszą i najtragiczniejszą w skutkach spuścizną po DOGE pozostanie de facto likwidacja Agencji ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID). Trump zamroził jej budżet rozporządzeniem w dniu drugiej inauguracji, a DOGE nadzorował proces odwoływania pracowników, a także zamknięcie waszyngtońskiej centrali z końcem lutego 2025 r. – Skutki tych działań są przerażające i będą się pogłębiać. Nieleczone zostaje m.in. AIDS; umierają ludzie, którym można pomóc szczepionkami – mówi Atul Gawande, autor filmu dokumentalnego „Rovina’s Choice” o globalnych skutkach zamknięcia USAID, nakręconego przez „The New Yorker”. Organizacja Lekarze bez Granic potwierdza, że już kilka miesięcy po zamknięciu USAID dostęp pacjentów do leków na HIV spadł w Mozambiku o jedną czwartą, a w Johannesburgu o jedną trzecią.

W grudniu ub.r. w raporcie za 2025 r. Fundacja Gatesów alarmowała: w 2024 r. zmarło 4,6 mln dzieci poniżej piątego roku życia, a w 2025 r. liczba ta ma po raz pierwszy w tym stuleciu wzrosnąć o ponad 200 tys. („2025 Goalkeepers’ Report”, Gates Foundation, 3 grudnia 2025). Brooke Nichols, epidemiolożka z Uniwersytetu Bostońskiego, występująca w filmie „Rovina’s Choice”, potwierdza, że według jej modelu prognostycznego zablokowanie działań USAID spowodowało w okresie od stycznia do początku listopada 2025 r. śmierć dodatkowych 600 tys. ludzi na świecie. Bill Gates w maju 2025 r. publicznie piętnował Elona Muska, mówiąc: – Najbogatszy człowiek świata zaangażował się w sprowadzenie śmierci na najbiedniejsze dzieci.

Teoria spiskowa

Grozą napawają nie tylko rosnące statystyki śmiertelności, lecz także powód, dla którego USAID znalazła się na celowniku DOGE. Jak to się stało, że Musk oraz Trump zaczęli głosić, że agencja jest grupą przestępczą? Okazuje się, że od-

USA

powiedzialny za to był płodny promotor teorii spiskowych Mike Benz.

Benz, za pierwszej prezydentury Trumpa pełniący pomniejszych funkcje w Departamencie Stanu, w czasie pandemii założył Fundację na rzecz Wolności w Internecie i zajął się, na początku pod pseudonimem, krytyką instytucji publicznych oraz platform internetowych za rzekome stosowanie przez nie cenzury. Z czasem poszerzał spektrum swoich zainteresowań i wśród promowanych przez niego teorii znalazła się i ta, że USAID jest nie organizacją pomocową, ale narzędziem politycznego nacisku; dowodził, że administracja Bidena wykorzystywała ją do tępienia ruchów prawicowych na świecie. Dowodem na to miał być rzekomo niewyobrażalnie wielki budżet USAID – 50 mld dol. rocznie. Więcej niż łączne budżety Departamentu Stanu i CIA.

Śledząc aktywność Muska na platformie X, można założyć, że miliarder zetknął się z tymi poglądami w grudniu 2024 r. po wystąpieniu Benza w podcaście prawnicowego influencera Joego Rogana. Wcześniej ani Musk, ani Trump nie zwracali na USAID uwagi, mówili tylko ogólnie o korupcji nękającej federalną administrację. Można również się domyślać, że w chwili drugiej inauguracji Trumpa planów demontażu USAID w sposób, w jaki to finalnie nastąpiło, też jeszcze nie było, Musk zainicjował bowiem brutalne ataki na agencję dopiero na początku lutego 2025 r., już po powołaniu DOGE. To wtedy w ciągu ledwie tygodnia upublicznił na swoim koncie na X kilkadziesiąt wpisów i komentarzy Benza, nazywając USAID m.in. „gniazdem żmij radykalnie lewicowych marksistów, którzy nienawidzą Ameryki” oraz „organizacją kryminalną”, postulując, że „pora, by USAID umarła”.

Według szacunków Centrum Rozwoju Światowego (CGD) programy USAID od dziesięcioleci ratowały życie od 2,3 mln do 5,6 mln ludzi rocznie. W 2025 r. USA wydały na pomoc zagraniczną ok. 32 mld dol., o połowę mniej niż w roku poprzednim. Biały Dom uruchomił co prawda własny projekt humanitarny America First Global Health Strategy, jednak z budżetem 11 mld dol. jego zasięgi i działania są tylko cieniem tego, co robiło USAID. Kuriozalne jest to, że na papierze USAID wciąż istnieje, bo jako instytucja zostało powołane przez Kongres (1968 r.) i tylko przez Kongres może być rozwiązane. Agencja zatrudnia obecnie nie więcej niż 70 osób. Co ciekawe, w lipcu ub.r., a więc już po rozwiązaniu DOGE, pracę w agencji podjął Mike Benz.

Marnotrawstwo i fiasko

I wreszcie finansowa strona operacji DOGE. Nie było tajemnicą, że wyborców Trumpa najbardziej ekscytowały liczby – 2 bln dol., które DOGE miały odzyskać po ukróceniu oszustw i korupcji. Kolosalne oszczędności miały też zapewnić federalnym biuram przejście na najnowsze technologie informatyczne i AI.

Już pod koniec stycznia 2025 r. Musk przyznał, że 2 bln nigdy nie były realistycznym celem; że sumę zawyżył, by DOGE udało się uzyskać choć 1 bln oszczędności. 10 kwietnia tego samego

roku cel ponownie został zrewidowany, tym razem do 150 mld dol. Musk uczynił to pod rosnącym naciskiem i frustracją ze strony ruchu MAGA. Bo mimo masowych zwolnień, których ofiarami padali też wyborcy Trumpa, mnożyły się dowody, że wiele kwot podawanych na „ścianie rachunków” było wynikiem błędów i zmyśleń. Po kolejnej rewizji, w lipcu 2025 r., Biały Dom podawał, że DOGE oszczędził 52,8 mld dol. w skasowanych rządowych kontraktach. Dochodzenie dziennikarzy portalu Politico wykazało, że faktyczne oszczędności bliższe są sumie 1,4 mld dol. („Just how much has DOGE exaggerated its numbers? Now we have receipts”, 12 sierpnia 2025 r.).

Pytany pod koniec 2025 r. o to, jak ocenia pracę DOGE, Musk przyznał,

że „osiągnęliśmy co nieco”. Na pytanie, czy ponownie podjąłby się próby zreformowania rządowej administracji, odpowiedział stanowczym „nie”. Pełniejszy obraz tego, co DOGE się udało, a co nie, wyłonił się z analizy opublikowanej w grudniu 2025 r. przez libertariański Instytut CATO. Czytamy w nim: „DOGE nie zmniejszył federalnych wydatków, bo większość z nich wynika z programów świadczeń społecznych i wymaga działań Kongresu (...), ale zredukował federalne zatrudnienie o 9 proc. w ciągu niecałych 10 miesięcy. Tak duży spadek nie miał miejsca od czasu demobilizacji po zakończeniu II wojny światowej i wojny koreańskiej” („DOGE Produced the Largest Peacetime Workforce Cut on Record, but Spending Kept Rising”,

Cato Institute, 17 grudnia 2025). Według szacunków CATO rządowe wydatki do końca listopada 2025 r. były wręcz rekordowo wysokie. Wyniosły 7,6 bln dol., a więc o ok. 248 mld dol. więcej niż za ten sam okres rok wcześniej i kształtując się mniej więcej na poziomie prognozowanym przez Kongresowe Biuro Budżetowe w czerwcu 2024 r.

Większość ekspertów jest dziś zgodna, że działalność DOGE była porażką. – Zamiast cięć mamy marnotrawstwo, bo DOGE wstrzymał częściowo ukończone projekty, zostawiając rząd z kosztami. Najbardziej skandaliczne i karygodne było jednak wyrzucenie z rządu utalentowanych osób oraz utrata ekspertów, bo nawet gdy usiłowano ponownie ich zatrudnić, wielu nie chciało ▷

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Śląska Grupa Prawna: „Nie zgubimy człowieka w systemie prawa”

– o relacji, zaufaniu i odpowiedzialności

W rozmowie z prezes zarządu Pauliną Kowalską wskazano, że organizacja rozwija model obsługi prawnej łączący wysoką specjalizację adwokatów z kompleksowym wsparciem klienta na każdym etapie sprawy. Jak podkreśla, Śląska Grupa Prawna stawia na dostępność, komunikację oraz interdyscyplinarne podejście, obejmujące także doradztwo podatkowe i obsługę biznesu.

Lokalność, relacje i zaufanie

Jak zaznacza prezes Paulina Kowalska, Śląsk to dla organizacji przede wszystkim ludzie, wartości i sposób myślenia – uczciwość, lojalność, konkret i szacunek do pracy. To na tym budowane są relacje z klientami. Śląska Grupa Prawna od początku stawia na bliskość i dostępność, a nie dystans. Nie jest strukturą zamkniętą, do której trudno dotrzeć. „Chcemy być blisko ludzi, a nie ponad nimi. Być tam, gdzie są prawdziwe problemy i prawdziwe emocje” – podkreśla prezes. Relacje z klientami mają charakter partnerski, oparty na zaufaniu, rozmowie i realnym wsparciu.

„Ludzkie oblicze prawa” i praca zespołu

Jednym z filarów działalności jest koncepcja „ludzkiego oblicza prawa”. Oznacza ona, że prawo to nie tylko analiza przepisów, ale także emocje, stres i potrzeba bezpieczeństwa po stronie klienta. W praktyce oznacza to stały kontakt, tłumaczenie kolejnych etapów oraz obecność w procesie od początku do końca. W zespole działają także osoby z doświadczeniem w mediacjach i komunikacji, co pozwala lepiej rozumieć sytuację klienta. „Dla nas człowiek nie jest sygnaturą akt. Najpierw widzimy jego lęk, emocje i historię, dopiero potem dokumenty” – mówi Paulina Kowalska. Sprawy prowadzone są przez wyspecjalizowanych adwokatów, a kancelaria odpowiada za ich koordynację oraz dobór kom-

petencji. Istotną jest również współpraca w zespole i wymiana doświadczeń, która wpływa na jakość obsługi. W tym modelu istotną jest również sprawna organizacja pracy i przepływ informacji. Nowoczesne technologie wspierają te procesy, usprawniając komunikację oraz kontakt z klientem. Jak zaznacza prezes, nie zastępują one relacji z człowiekiem, lecz ją wzmacniają. Model ten obejmuje także sprawy transgraniczne, m.in. w Niemczech, gdzie kluczowe jest nie tylko prawo, ale również prowadzenie klienta przez odmienny system. „Granica państwa nie może być granicą skutecznej pomocy prawnej” – zaznacza.

Biznes, podatki i odpowiedzialność

Śląska Grupa Prawna wspiera również przedsiębiorców, oferując doradztwo podatkowe i wsparcie w sytuacjach kryzysowych. Jak wskazuje prezes, firmy coraz częściej oczekują nie tylko reakcji, ale partnera, który rozumie ryzyko i konsekwencje decyzji biznesowych. W obszarze podatkowym istotną rolę pełni doradca podatkowy Konrad Józwick, odpowiedzialny za bezpieczeństwo podatkowe klientów. „Dziś przedsiębiorcy nie pytają tylko, co wolno. Pytają, jak działać mądrze i bezpiecznie” – podkreśla. Celem Śląskiej Grupy Prawnej jest model, w którym adwokaci odpowiadają za merytorykę sprawy, a zespół za organizację, komunikację i wsparcie klienta. Organizacja prowadzi także całonocowe dyżury oraz działania w formule „pro bono”. Jak podsumowuje prezes, najważniejsze pozostaje jedno – Nasze Ludzkie Oblicze, które zaczyna się tam, gdzie ktoś naprawdę odbiera telefon, tłumaczy, uspokaja i nie zostawia klienta samego z ciszą.

Aneta Żych

<https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/>



Zdjęcie grupowe



ŚLĄSKA GRUPA PRAWNA
LUDZKIE OBLICZE PRAWA

wracać. Reforma administracji państwowej jest potrzebna, ale dostaliśmy najgorszą jej wersję autorstwa człowieka zbyt mało ciekawego świata, by zakwestionować własne błędne przekonania – wyjaśnił mi Bobby Koplan, dyrektor programu ds. budżetu i polityki fiskalnej w think tanku Center for American Progress.

„Jest zbyt zajęty”

Pozostaje pytanie o to, czy architekci DOGE odpowiedzą za wyrządzone szkody? Choć w sądach leżą dziesiątki pozwów, w tym o nielegalny dostęp do wrażliwych danych (a nawet ich kradzież), Białe Dobre i Musk nabrali wody w usta, podczas gdy ich adwokaci utrzymują, że DOGE nie musi się z niczego rozliczać, gdyż formalnie nigdy nie był rządową agencją. Opisują dziś komisję jako „ciało doradcze” rządu.

Departament Sprawiedliwości obsadzony lojalistami Trumpa zabiega, by to stanowisko przypieczętować orzeczeniem Sądu Najwyższego, wzmaga więc naciski na SN, by ten rozpatrzył apelację w sprawie U.S. DOGE vs. Citizens for Responsibility and Ethics in Washington. Dotyczy ona prawa obywateli do informacji na mocy ustawy o dostępie do informacji z 1966 r. Zaś sądowi w Teksasie, który od listopada ub.r. zajmuje się pozwem przeciwko Muskowi o to, iż rozmontowując USAID, złamał konstytucję (jako osoba niezatwierdzona przez Senat nie miał prawa działać w imieniu rządu), do dziś nie udało się wezwać go na zeznania. Mimo podjętych już 14 prób.

Adwokaci Muska odpowiadają, że najbogatszy człowiek na świecie ma prawo nie stawiać się na „skinięcie sędziego”, bo jest zbyt zajęty. Departament Sprawiedliwości ze swojej strony zabiega o oddalenie pozwu na bazie precedensu, w którym kiedyś orzeczono, że wyżsi rangą pracownicy rządowi – a za takiego Białe Dobre wciąż Muska uważa – mają ochronę przed zeznaniami, które odcinają ich od wykonywania ważnych obowiązków (sic!). W chwili gdy powstaje ten tekst nikt powiązany z DOGE nie został pociągnięty do odpowiedzialności, a spora część jego byłych pracowników znalazła zatrudnienie w innych strukturach rządu.

Wydaje się nieuchronne, że jeśli w wyborach połowkowych jesienią demokraci przejmą kontrolę nad choćby jedną izbą Kongresu, dochodzenia przeciwko Muskowi i DOGE ruszą pełną parą. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że wyróżnikiem amerykańskiej polityki w jej obecnym wydaniu jest to, jak często najsilniejszym głosem przemawiają w niej pieniądze. Od 2024 r. Musk „zapłacił” Trumpowi prawie 300 mln dol. za to, by mieć dobre relacje z rządem. Podwojenie czy potrojenie tej stawki, by tym razem przelać ją na konto demokratów, nie będzie dla człowieka z majątkiem zbliżającym się do biliona dolarów żadnym problemem. ©



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Kraj

Hasło „robimy, nie gadamy” jest super

Nigdy nie można wpadać w samozachwyt, dlatego że cyfry świecą się na zielono i jesteśmy w G20. Pokory w polityce to akurat powinniśmy mieć sporo

Z Arkadiuszem

Marchewką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

„Nikt nie jest wieczny” – powiedział premier Donald Tusk, prezentując „dziesiątkę na wybory”: młodszych o pokolenie polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy mają przejąć pałeczkę w partyjnej sztafecie. Pan jest jednym z nich. Ale nikt z was przecież nie powie: tak, chcę zastąpić Tuska. To po co to całe zamieszanie?

Rozmawialiśmy o tym z premierem dość długo. Wszyscy wiemy, jak wielkie wyborcze wyzwanie stoi przed nami w przyszłym roku. To on jest liderem, ale dał nam do zrozumienia, że to od nas zależy, jak przygotowujemy przyszłość. Nie tylko tę na wybory w 2027 r.

Proszę wybaczyć mój sceptycyzm, ale może chodzi o to, żebyście byli paprotkami, dowodem, że w Koalicji Obywatelskiej też są młodzi politycy. A narzędzia do kampanii i decyzyjność zostaną tam, gdzie są.

Mamy ważne zadanie do wykonania i będziemy aktywnie działać. Nie chodzi przecież o to, by wszystko wywrócić do góry nogami i zaczynać od nowa. Na pewno będziemy współpracować ze sztabem, który zostanie stworzony na kampanię. Na pewno będzie sporo konsultacji z premierem i jego kancelarią. Mamy być wartością dodaną: zebrać dobre rzeczy, które robi rząd, a o których zbyt głośno nie słychać, i wyjść z propozycjami mądrzej, odpowiedzialnej kontynuacji. Mamy dać wkład merytoryczny, ale także być liderami projektów, które będziemy traktować jako priorytety na kolejne lata rządów.

Co wam powiedział premier, zanim pokazaliście się na wspólnej konferencji?

Mówił, że przed nami, co oczywiste, jest fundamentalne starcie. Ale kreślił też horyzont dalszej przyszłości i wskazywał nasze zadania. I nie, to nie były wytyczne czy polecenia, ale raczej zaufanie i sygnał: jesteście pokoleniem czterdziestolatków, wykonaliście kawał roboty w rządzie, parlamencie czy samorządzie, teraz czas, by wziąć jeszcze większą odpowiedzialność.

Co widać z perspektywy 40-latką w KO? Premier mówił, że poprosił was o ocenę politycznych atutów i słabości. Te pierwsze sam pan wymieni, a te drugie?

Potrzebujemy wyjścia do przodu z pomysłami, które byłyby kluczowe dla rozwoju Polski. W najbliższych wyborach niezwykle ważne będzie zaangażowanie elektoratu do 30. roku życia. Ci wyborcy potrzebują wiarygodności, a ona buduje się wyłącznie na bazie dobrych doświadczeń i realnych dokonań. Musimy mieć skuteczniejszą odpowiedź na rosnące – i dobre – aspiracje młodych Polek i Polaków, inaczej będą szukać ich spełnienia po skrajnych stronach sceny politycznej.

Brzmi pan jak Mateusz Morawiecki.

Tylko że po nim zostały slajdy, a my mamy już realne efekty.

On też bije na alarm, że przekaz do przekonanych wyborców nie wystarczy.

Powiem, jaki jest nasz elektorat: opiera się on w dużym stopniu na twardym przywiązaniu do wolności, europejskich wartości, praworządności i konieczności rozliczenia tych, którzy przez ostatnie lata łamali prawo i powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Fakt, że takie są oczekiwania sporej części naszych wyborców, jest naturalny. Ale jest też duże grono młodych ludzi, którzy nie są przesadnie zainteresowani codzienną polityką opartą na spektaklu i emocjach, lecz oczekują dobrych i sku-

tecznych rządów. I jako grono młodych ministrów chcemy dać taką odpowiedź. Co jest do korekty? Na pewno kluczowa jest komunikacja. Musimy mieć silny przekaz pokazujący dobre efekty naszych rządów – jest ich naprawdę dużo, ale potrzeba w tym zakresie ofensywy, wyjścia do przodu.

Znam tę opowieść. Robimy dużo, tylko naród nie dorósł, żeby to zrozumieć albo jest zmanipulowany. Nie za proste te diagnozy?

Zupełnie nie o to chodzi, twarde stąpamy po ziemi. Natomiast nie ma się co czarować: mierzymy się nie na argumenty – choć do takiej dyskusji zawsze jestem gotów – lecz z ludźmi, którzy w sposób perfidny kłamią. Wszystkie te opowieści o zawieszonych inwestycjach, sprzedawaniu portów Niemcom, blokowaniu rozwoju portu w Świnoujściu i kilkudziesięciu innych kwestiach związanych z gospodarką... Dzień po dniu potok kłamstw zalewa media społecznościowe i siłą rzeczy ogólnopolski przekaz. Zanim sprostujemy te kłamstwa, dostajemy kolejnym fejkem – równie fałszywym, ale chwytliwym.

„Po co nam port w Świnoujściu, skoro mamy w Hamburgu?”

Fajny spin do podbicia na X. Tylko że kompletnie nieprawdziwy. W Świnoujściu projekt jest realizowany z rozmachem, ale rozsądnie. Wie pan, co zastaliśmy w szufladach ministerialnych? Opis slajdów, prawie jak ze słynną stępką Morawieckiego. Kiedy przejęliśmy odpowiedzialność za te inwestycje i zerknęliśmy w papiery dotyczące portu w Świnoujściu, bardzo słabo to wyglądało. Pomijam fakt, że budowa portu zewnętrznego była wpisana w rządowe plany już w 2014 r. Minęło osiem lat rządów PiS, a dopiero tuż przed kampanią wyborczą podpisano przedwstępną umowę z katarskim inwestorem, który miał budować port. Zaglądamy do papierów i okazuje się, że gdybyśmy zostawili sprawę tak, jak zrobili to poprzednicy, to do portu kontenerowego nie mogłyby wpłynąć kontenerowce. Serio, chodziło o głębokość nabrzeży, które były za płytkie. Największe kontenerowce, które wpływają na Bałtyk, potrzebują 17 m głębokości. Nasi poprzednicy zaplanowali 14 m.

Nie mówiąc o tym, że cała inwestycja miała zostać zrealizowana przez zagraniczne firmy, które ostatecznie nie zapewniły żadnego finansowania. Zrobiliśmy szczegółową analizę opłacalności projektu w kształcie zaplanowanym przez PiS i wyszło, że nie zwróciłaby się portowi przez 150 lat. Stworzyliśmy zupełnie nowy projekt, który nazwaliśmy Przylądek Pomerania. Wdrożyliśmy nowy model finansowania, podjęliśmy decyzję, że sami zbudujemy tam 186 ha nowego lądu, na którym port będzie się rozwijał. Ruszyliśmy z inwestycją realnie poprzez wiele decyzji – od środowiskowej po lokalizacyjną. W tej chwili powstaje droga techniczna do budy portu i oczyszczane jest dno morskie. Pierwsza łopata pod powiększenie Polski powinna zostać wbita w przyszłym roku.

Gdyby premierem był Mateusz Morawiecki, to opowieść o powiększeniu Polski, rozbudowie portów i odzyskaniu kawałka tortu

WYWIAD

gospodarczego od Niemców nie znikalaby z przekazu rządowego. Przyjmuję tę krytykę i trochę też po to zostaliśmy wskazani w tej dziesiątce, od której zaczęliśmy rozmowę. Musimy wzmocnić przekaz o dobrych efektach pracy rządu, uruchomić drugi fortepian narracyjny, bo inwestycje są skutecznie realizowane...

...a wy codziennie o Kaczyńskim i Nawrockim.

Rozumiem, że inny fortepian też musi grać, ale tak widzę swoją rolę – chodzi o to, by nieco zmienić wydźwięk tego koncertu. Jesteśmy o krok od decyzji Rady Ministrów, by polska bandera wróciła na nasze statki handlowe. W ciągu dwóch lat zwiększyliśmy o prawie 50 proc. zyski naszych portów, bijemy rekordy, jeśli chodzi o przeladowane kontenery i towary, mamy rekordowe pieniądze na inwestycje, a wystarczy kilka wpisów na X polityków PiS i w eter idzie fałszywy przekaz, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Potrzeba dużej ofensywy, bo prawda nie zawsze sama się obroni. Dane dotyczące wzrostu nas bronią, inflację mamy jedną z najniższych w Unii Europejskiej, podobnie jak bezrobocie, notujemy wzrost wynagrodzeń...

...a rząd jest oceniany bardzo źle, w odróżnieniu od Koalicji Obywatelskiej. Ludzi nie interesują tabelki w Excelu.

Zgoda, nigdy nie można wpadać w samozachwyty, dlatego że cyfry świecą się na zielono i jesteśmy w G20. Pokory w polityce to akurat powinniśmy mieć sporo. (śmiech) Mam na myśli tylko tyle, że to, co robimy, powinno mocniej wybrzmiewać. Przykład z ostatnich dni dotyczący przemysłu stoczniowego. Za czasów PiS zlikwidowano stocznice remontową w Świnoujściu. Jako rekompensatę ogłoszono budowę nowego doku dla szczecińskiej stoczni Gryfia, w której będą remontowane największe statki. Brzmi dobrze. Po przejęciu władzy zaglądamy w papiery – i okazuje się, że zamiast budować, stocznia ma 150 mln zł straty, doku nie ma, choć wszystkie pieniądze zostały wydane. Trzeba więc ogłaszać bankructwo firm stoczniowych z całej grupy albo znaleźć dodatkowe fundusze, zatrudnić fachowców i uratować projekt. Oczywiście robimy to drugie. W tym tygodniu, po wielu miesiącach pracy, zwodowano kolejne dwa elementy nowego doku. Podobnie było z budową promów. Flagowy program PiS, czyli Program Batory, skończył się rdzewiejącą stępką i długami. Musieliśmy przygotować projekt budowy promów na nowo, zapewnić finansowanie, spłacić długi. Dzięki zainwestowanym przez nasz rząd środkom w wysokości 1,3 mld zł prom „Jantar” pływa już między Polską a Szwecją. Druga, bliźniacza jednostka o nazwie „Bursztyn” wejdzie do eksploatacji w drugiej połowie roku.

Nasze hasło „robimy, nie gadamy” jest super, ale czasem trzeba też umieć opowiedzieć o tym, co się robi. Nasze projekty w portach wzmocniają przecież nie tylko przemysł nad morzem, lecz także bezpieczeństwo Polski, również energetyczne – budujemy morskie farmy wiatrowe, rozbudowujemy terminale paliwowe, jak Naftoport w Gdańsku czy terminal w Gdyni. W Zatoce Gdańskiej powstaje kolejny terminal gazowy, a na horyzoncie kolejne wielkie inwestycje, jak wspomniany Przylądek Pomerania, czyli największa inwestycja w 75-letniej historii zarządu portów Szczecin i Świnoujście. Mogę wymieniać długo. Z każdym z PiS czy, szerzej, z każdym z opozycji jestem gotowy uisnąć do merytorycznej debaty o inwestycjach.

Mieć potrzebę przejścia do ofensywy to jedno, drugie – działać w utartych koleinach i wrzucać na X spot, w którym prezydent bierze snusa.

Mam nadzieję, że jesteśmy od tego, by nieco skorygować ten kurs. Polki i Polacy – zwłaszcza najmłodszy wyborcy – oczekują ambitnych działań. Musimy myśleć o Polsce w kontekście doganiania Zachodu, bycia liderem inwestycji w naszej części Europy. Pokażemy nasze flagowe projekty. Opowiadam o moim obszarze z rekordowymi inwestycjami w gospodarce morską, ale opowiem też o nowych

pomysłach, nakreślonych ambitnie i z rozmachem. Dużo się mówi w ostatnich latach o skuteczności i sprawczości w polityce, politologów i dziennikarzy przeświecłają pod tym kątem proces rozliczeń – to też jest ważne, ale prawdziwa skuteczność rządu opiera się na czymś innym.

I wtedy wyjmują wam sto konkretów, które pokazują, że wiarygodność waszych pomysłów jest, delikatnie mówiąc, kiepska. Przyjmuję zarzuty i pretensje, dlatego musimy sensownie uzasadniać działania, które padły w kampanii przed 2023 r., a które z różnych powodów nie zostały jeszcze zrealizowane, jak np. obniżanie podatków. Mamy gigantyczne wydatki na bezpieczeństwo oraz taką, a nie inną sytuację geopolityczną. Siłą rzeczy możliwości są ograniczone. Kluczowe jest to, by nie robić uników, tylko argumentować nawet trudne decyzje. Polacy to rozumieją. Najważniejsza w zarządzaniu oraz budowaniu dobrobytu i zaufania jest odpowiedzialność. ©



FOT. MAT. PRASOWE

Arkadiusz

Marchewka

poseł Koalicji Obywatelskiej, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, doktor nauk ekonomicznych

REKLAMA

FRYDERYK
SALA KONCERTOWA

KONCERTY
PRZY ŚWIECACH
CHOPIN I INNI

UL. PODWALE 13/15, WARSZAWA

WWW.FRYDERYK.EVENTS

Każdy myśli, że pomaga

W przypadku większości zawodów zaufania publicznego kształcenie państwowe jest standardem. Psychoterapeuci to wyjątek: wszystko jest w prywatnych rękach

Z Przemysławem

Bąblem

rozmawia Emilia Świętochowska

W swojej nowej książce pisze pan, że rynek psychoterapii w Polsce przypomina piramidę finansową. Co ma pan na myśli?

Chodzi mi o to, że aby wejść do zawodu psychoterapeuty, trzeba zainwestować bardzo dużą sumę – ok. 100 tys. zł w ciągu czterech lat. Samo szkolenie to wydatek średnio 70 tys. zł. Do tego trzeba opłacić terapię własną, udział w szkoleniach, konferencjach, testy psychologiczne itd. Uzyskanie certyfikatu to nie koniec wydatków, trzeba stale podnosić kwalifikacje i mieć superwizję. Od trzeciego roku szkolenia można już pracować, ale dostaje się najniższą stawkę – ok. 200 zł za 50-minutową sesję. Młody psychoterapeuta zwykle zaczyna praktykę u kogoś, a wtedy 40–50 proc. stawki idzie na konto właściciela gabinetu. Wciąż zostaje niemało, ale jak ktoś wydał 100 tys. zł, to pojawia się pytanie o zwrot z tej inwestycji. Używam metafory piramidy, żeby zwrócić uwagę na strukturę finansową systemu.

Gdzie w psychoterapii jest najwięcej pieniędzy?

W szkoleniu nowych psychoterapeutów, a nie w samej pracy z pacjentami. To wynika z prostego mechanizmu: szkolenie można skalować, a psychoterapia jest usługą indywidualną. Ośrodki psychoterapii osiągają rocznie dochody rzędu setek tysięcy, a te duże – milionów złotych. Kolejnym dużym źródłem zysku jest superwizja – stawki za godzinę są w tym przypadku wyższe niż za sesję z pacjentami. Jeśli superwizor prowadzi jednocześnie kilka osób, to opłata za sesję grupową często przekracza kilka tysięcy złotych za godzinę.

Kto obecnie może założyć szkołę psychoterapii?

Ja mogę, pani może, nie ma żadnych ograniczeń. Zaczniemy od tego, że każdy może dziś założyć działalność gospodarczą i reklamować swoje usługi jako psychoterapię. Może nawet wymyślić sobie własną metodę „leczenia”. Tak samo każdy może

otworzyć firmę i zacząć szkolić ludzi na „psychoterapeutów”. To trudniejsze niż samo wejście do zawodu, ale wyrobienie sobie pozorowanej renomy jest jak najbardziej możliwe.

Czy jest jakiś proces weryfikacji jakości kształcenia oferowanego przez te szkoły? Coś w rodzaju akredytacji?

Akredytacja jest w rękach stowarzyszeń zrzeszających psychoterapeutów danego nurtu. Zajmują się one ustalaniem standardów, pilnowaniem jakości szkolenia, prowadzeniem lub nadzorowaniem egzaminów, nadawaniem certyfikatów swoim członkom i przyznawaniem akredytacji ośrodkom szkoleniowym. Najsurowsza kara, jaka obecnie może spotkać psychoterapeutę za nadużycia, to wyrzucenie ze stowarzyszenia lub odebranie certyfikatu. Ale nawet w takim przypadku nikt mu nie zabroni dalej przyjmować pacjentów. Projekt ustawy o zawodzie psychoterapeuty, nad którym trwają prace w Sejmie, sankcjonuje ten stan – kształcenie psychoterapeutów nadal ma pozostawać domeną prywatnych ośrodków. To zupełnie inna sytuacja niż u lekarzy, których koszty nauki pokrywa państwo, a podczas rezydentury wypłaca im wynagrodzenie. Zresztą w przypadku większości zawodów zaufania publicznego kształcenie państwowe jest standardem. Psychoterapeuci to wyjątek: wszystko jest w prywatnych rękach. Państwo nie ma nad tym rynkiem żadnego nadzoru.

O co bardziej chodzi w tym sporze o psychoterapię: o dobro pacjenta czy pieniądze?

Stawką jest jedno i drugie. Wojna toczy się nie tylko o to, co najbardziej służy interesom pacjentów, lecz także o duży rynek – o to, kto będzie mógł prowadzić psychoterapię, szkolić i czerpać z tego największe zyski. Wierzę, że po obu stronach sporu są osoby święcie przekonane, że swoimi działaniami pomagają pacjentom.

Dzieli ich pan na dwa obozy: jakościowców, którzy wychodzą z założenia, że psychoterapia to leczenie zaburzeń metodami

psychologicznymi, oraz ilościowców, którzy rozumieją ją szerzej – jako wszelkie formy pomocy psychologicznej, w tym rozwój osobisty. Pierwszy obóz, do którego pan należy, przekonuje, że psychoterapeutami powinni być wyłącznie psycholodzy i psychiatry. Ten drugi uważa, że zawód powinien być otwarty dla absolwentów również innych kierunków studiów.

Ilościowcy twierdzą, że im więcej psychoterapeutów będzie na rynku, tym lepiej dla pacjentów. I nie jest to argument od rzeczy. Problem w tym, że jeśli dopuścimy do zawodu ludzi bez odpowiednich kompetencji i wykształcenia bazowego, to przełoży się to na spadek jakości usług. Z drugiej strony słychać argument, że jak ograniczymy możliwość prowadzenia psychoterapii do psychologów i psychiatrów, będzie to oznaczać zamknięcie zawodu.

Nowa kasta?

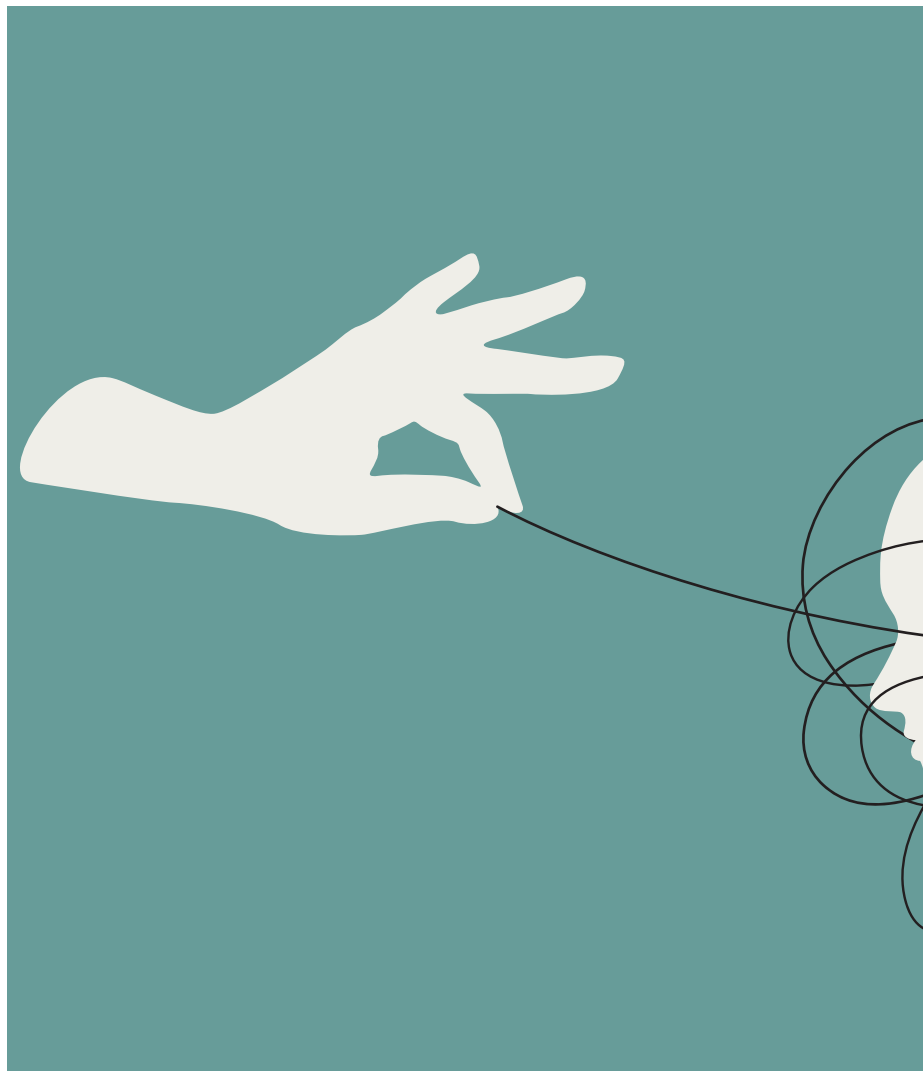
Można tak na to spojrzeć, ale czy ktokolwiek ma pretensje do kardiologów, że nie dopuszczają do swojej specjalizacji geologów?

Oczywiście, że nie ma, ale zdrowie psychiczne nie jest u nas traktowane na równi ze zdrowiem somatycznym.

To prawda – ani przez polityków, ani przez pacjentów. Jak kogoś boli ząb, to idzie do dentysty. Jak ma obniżony nastrój, to niekoniecznie umawia się od razu do psychiatry. Przejmujemy się bardziej naszym ciałem niż dobrostanem psychicznym.

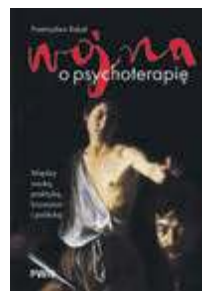
A przecież tyle się dziś mówi o tym, że żyjemy w kulturze terapeutycznej. W mediach społecznościowych influencerzy uczą rozpoznawać objawy zaburzeń lękowych, pracodawcy oferują treningi mindfulnessu, podcasty tłumaczą nam, jak stawiać granice i który nurt psychoterapii wybrać...

Wciąż traktujemy psychikę jako coś mniej realnego niż ciało. Do szamana, który „leczy” świecami zapachowymi, prędzej pójdzie po pomoc osoba z depresją niż chora na raka. Ze zdrowiem psychicznym jesteśmy bardziej skłonni eksperymentować niż z somatycznym. Każdy ma swoje sposoby na poprawę samopoczucia. Jak otworzę butelkę wina i położę się w hamaku, to się wyciszę. Jak obejrzę wciągający serial, to przestanę myśleć o swoich kłopotach. Problem pojawia się wtedy, gdy stosujemy te praktyki, aby „leczyć” zaburzenie psychiczne.



Przemysław Bąbel

„Wojna o psychoterapię. Między nauką, praktyką, biznesem i polityką”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa, 2026





FOT. MONIKA J/SHUTTERSTOCK

Specjaliści od bioenergoterapii i innych pseudonaukowych metod nie działają tylko w Polsce. Jak sobie radzą z ich usługami inne kraje?

Zwykle nadal są dostępne na rynku prywatnym. W publicznej ochronie zdrowia można się leczyć wyłącznie metodami, których skuteczność została dowiedziona naukowo. Hochsztaplerzy nie używają też tytułu psychoterapeuty, lecz określają się inaczej – np. terapeutami. Podobnie było u nas z ustawą o zawodzie fizjoterapeuty – po jej wejściu w życie część osób, które nie spełniały nowych wymogów, zaczęła się posługiwać innymi, nieregulowanymi tytułami, np. „osteopata”. Ich gabinety można teraz spotkać na każdym kroku.

Ilościowcy zarzucają pana obozowi, że sprowadza psychoterapię do suchej procedury medycznej, która koncentruje się na tym, czy objawy pacjenta spełniają kryteria zaburzenia. Z ich perspektywy jest to wielowymiarowy proces wymagający zaufania, empatii i zrozumienia źródeł cierpienia człowieka.

Ja tego tak nie widzę. Krytycy medycyzacji psychoterapii przekonują, że problemów człowieka nie można sprowadzać do diagnozy. Ale jak pomóc pacjentowi, jeśli nie wiemy, co mu jest? Potrzebujemy drogowskazu, który wskaże nam kierunek. Zgadzam się, że diagnozy bywają niespójne i nieprecyzyjne, różni specjaliści potrafią u tej samej osoby stwierdzić różne zaburzenia. Wynika to z ograniczeń klasyfikacji zaburzeń psychicznych opartej na objawach, nazywanej nozologiczną. Dlatego myślę, że przyszłością będzie tzw. terapia transdiagnozy, która w pierwszej kolejności skupia się na ustaleniu, jakie procesy psychologiczne u pacjenta zawodzą. W przypadku wielu zaburzeń zwykle występują pewne elementy wspólne. Rzadko jest też tak, że ktoś cierpi tylko na depresję albo tylko odczuwa lęk. Często padają zarzuty, że nie ma markerów biologicznych zaburzeń psychicznych, a ich diagnozowanie bazuje głównie na relacjach samych pacjentów. Rzecz w tym, że odnosi się to również do wielu chorób somatycznych. Nawet w przypadkach, w których znane są biomarkery, punktem wyjścia do diagnozy jest wywiad kliniczny. Nierzadko lekarze podejmują decyzje terapeutyczne wyłącznie na podstawie obrazu klinicznego – np. przepisują antybiotyki bez wykonywania antybiogramu. Przeciwnicy medycyzacji przekonują, że najlepiej nie stawiać żadnych diagnoz, tylko starać się zrozumieć przyczyny cierpienia pacjenta. Moim zdaniem to nie przypadek. Diagnozę psychologiczną może postawić wyłącznie psycholog, a nozologiczną – lekarz psychiatra. Ilościowcom chodzi o dopuszczenie do zawodu psychoterapeuty osób bez odpowiednich kompetencji.

W farmakoterapii tym, co leczy, jest składnik aktywny. A co leczy w psychoterapii?

Zacznijmy od tego, że skuteczność każdego leczenia zależy nie tylko od składnika aktywnego, lecz także niespecyficznych czynników: nazwy handlowej leku, koloru i wielkości tabletki, wyglądu opakowania itp. Takie czynniki mogą znacząco zwiększać lub zmniejszać działanie składnika aktywnego. Badania pokazują, że informacja na temat działania farmakoterapii może modyfikować jej skuteczność. Jeśli podamy pacjentowi tabletkę przeciwbólową, mówiąc, że to lek zwiększający ból, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że rzeczywiście tak się stanie. Jeśli poczytamy w ulotce, że środek ma skutki uboczne, to pod wpływem tej sugestii możemy ich doświadczyć. Podobnie jest w psychoterapii. W przypadku depresji występują różne zniekształcenia myślenia, więc leczenie polega na jego zmianie. Wykorzystuje się w tym celu różne metody: argumentację, szukanie „za” i „przeciw”, aktywizację behawioralną. Inny przykład: arachnofobia. Z badań psychologicznych wynika, że lęk przed pajakami jest efektem uczenia się. Można więc zastosować metody, które mają na celu „oduczenie” pacjenta fobii. Jedną z nich jest wygaszanie: pokazuje się pacjentowi pajaka, wzbudza to u niego lęk, ale musi go przeczekać. Za drugim razem lęk będzie już słabszy. Oprócz metod leczą też czynniki niespecyficzne, wspólne dla większości nurtów, takie jak pełna empatia i troskliwa relacja psychoterapeutyczna. Dzięki niej pacjent czuje się zrozumiany i wspierany. Oczywiście są tacy, którzy uważają, że tym, co leczy, jest osobowość psychoterapeuty. Pojawiają się nawet kuriozalne pomysły, by kandydatów do zawodu poddawać – zamiast sprawdzianowi wiedzy i umiejętności psychologicznych – testom osobowościowym. Relacja jest warunkiem koniecznym, ale niewystarczającym – sama w sobie nie leczy zaburzeń.

Niektórzy uważają, że nie da się udowodnić skuteczności psychoterapii, bo jest ona zbyt złożonym procesem.

Weźmy przykład depresji. Badanie skuteczności psychoterapii nie różni się od badania skuteczności leczenia farmakologicznego. Mierzmy przecież te same objawy: czy nastrój pacjenta się poprawia, czy pacjent wychodzi z łóżka, czy jakość jego życia się polepsza, jak wyglądają jego relacje z innymi itd.

Nawet jeśli zbadamy, czy objawy ustąpiły, to nie będziemy mieć pełnego obrazu funkcjonowania pacjenta.

Zgadzam się, że ustąpienie objawów u pacjenta nie jest jedynym wyznacznikiem skuteczności psychoterapii. I jest coraz więcej badań, które biorą pod uwagę wiele wymiarów zdrowia psychicznego: jakość życia, zdolność budowania i utrzymywania relacji, funkcjonowanie zawodowe itp. A to oznacza, że współczesne badania

pozwalają nam określić skuteczność psychoterapii i jej wpływ na szerokie spektrum funkcjonowania człowieka.

Naukowo zajmuje się pan badaniami bólu, w tym czynnikami psychologicznymi modyfikującymi jego percepcję. Czy psychoterapia może leczyć ból?

Może, choć trzeba też wyjaśnić, co rozumiemy przez „leczenie”. Ból jest najczęstszym objawem w medycynie. Towarzyszy większości chorób somatycznych, ale sam w sobie też może być chorobą. Jeśli trwa ponad trzy miesiące po wyleczeniu tkanek, to mówimy o bólu przewlekłym. Dotyczy on ok. 20 proc. populacji. Jest to zatem jeden z najpowszechniejszych problemów zdrowotnych. Ból nie jest wyłącznie sygnałem z tkanek – to doświadczenie zmysłowe i emocjonalne, kształtowane przez uwagę, oczekiwania i wcześniejsze doświadczenia. Dlatego metody psychologiczne mają tu realne zastosowanie. Jednak ich skuteczność – podobnie jak farmakoterapii – jest ograniczona. U części pacjentów psychoterapia przynosi wyraźną poprawę, u innych mniejszą. Problemem jest też to, że bywa ona wdrażana za późno. W praktyce psychoterapia rzadko całkowicie „usuwa” ból, ale może znacząco zmniejszać jego nasilenie, poprawiać funkcjonowanie i jakość życia.

Jakie metody się w tym celu wykorzystuje?

Najlepiej przebadane są podejścia poznawczo-behawioralne. Obejmują one kilka kluczowych elementów. Po pierwsze, pracę nad przekonaniem dotyczącym bólu – np. katastrofizowaniem czy przekonaniem, że ruch zawsze nasila ból. Musimy więc zmieniać oczekiwania pacjenta, a jednocześnie go stopniowo aktywizować. Małe, kontrolowane ruchy pozwalają „oduczyć się” lęku przed bólem. Po drugie, stosuje się techniki ekspozycyjne. Pacjent stopniowo konfrontuje się z aktywnościami, których unikał. To ważne, bo w bólu przewlekłym unikanie i lęk często nasilają problem bardziej niż samo uszkodzenie tkanek. Po trzecie, wykorzystuje się metody regulacji uwagi i emocji, takie jak mindfulness czy trening relaksacyjny, które nie tyle odwracają uwagę, ile zmieniają sposób doświadczania bólu i jego emocjonalny komponent. Coraz większą rolę przypisuje się mechanizmom uczenia się. Odpowiednie kształtowanie oczekiwań pacjenta, doświadczeń związanych z leczeniem czy obserwacja innych osób mogą realnie modulować odczuwanie bólu. W praktyce skuteczna terapia to zwykle połączenie tych elementów. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Przemysław

Bąbel

prof. dr hab., pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie kieruje Zespołem Badania Bólu. Zajmuje się m.in. mechanizmami działania placebo



KONKURS

ORGANIZATOR

DGP | Dziennik
Gazeta Prawna

PATRONAT HONOROWY

Marcin Kulasek
Minister Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

PARTNER PROJEKTU

KGHM
POLSKA MIEDŹ

PARTNER GALI

JWP
JAGIELLONSKIE WYDZIAŁY PRACOWNI
WYDZIAŁ PRACOWNI

PATRONAT

PAN
POLSKA AKADEMIA NAUK

URZĄD PATENTOWY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

NCBR
Narodowe Centrum Badań i Rozwoju

Innovations Hub
Foundation

Youth Business
Poland

Eureka! DGP. Najlepsi z najlepszych

Trwa 13. edycja konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki”. Do udziału zaprosiliśmy polskie uczelnie, instytuty badawcze oraz jednostki naukowe PAN. Do czerwca w DGP Magazynie na Weekend oraz na gazetaprawna.pl będziemy opisywać wynalazki nominowane przez redakcję do nagrody głównej. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na gali pod koniec czerwca, a podsumowanie cyklu ukaże się w DGP. Główna nagroda to kampania promocyjna dla uczelni lub instytutu o wartości 50 tys. zł w mediach INFOR PL SA (wydawcy Dziennika Gazety Prawnej), ufundowana przez organizatora. Po raz pierwszy Kapituła Konkursu przyzna Nagrodę Specjalną „Nowe Pokolenie Innowatorów”, skierowaną do liderów projektów, którzy nie ukończyli 35. roku życia. Strona internetowa konkursu: eureka.dziennik.pl/

Nowy sposób na zwyrodnienia

Komórki macierzyste lekiem w chorobach zwyrodnieniowych stawów

B adane przez naukowców z Krakowa komórki macierzyste mogą zostać wykorzystane w leczeniu m.in. choroby zwyrodnieniowej stawów. To nadzieja dla osób cierpiących na bolesne schorzenia zapalne i uszkodzenia stawów.

– Zajmujemy się komórkami AT-MSC. Skrót „AT” oznacza komórki autologiczne, a więc to pacjent jest dla siebie dawcą komórek dla celów terapii. Z kolei skrót „MSC” oznacza, że są to komórki macierzyste mezenchymalne, które są izolowane z ludzkiej tkanki tłuszczowej – tłumaczy prof. Ewa Zuba-Surma z Zakładu Biologii Komórki, Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. – AT-MSC to jeden z rodzajów komórek macierzystych, które mogą się przekształcać w różne, bardziej dojrzałe typy komórek, w tym tkanki chrzęstno-kostnej. Zatem nasze komórki lecznicze mogą dawać początek m.in. osteoblastom i chondrocytom, komórkom chrząstki i kości, mogącym spełniać funkcje regeneracyjne. Mogą także wydzielać szereg czynników, które sprzyjają naprawie tkanek – dodaje krakowska naukowczyni.

Badania nad terapią są już bardzo zaawansowane. – Zakończyliśmy wła-

śnie drugą fazę badań klinicznych, w której brało udział prawie 200 osób z osteoartrozą stawu kolanowego. Komórki AT-MSC w postaci produktu leczniczego terapii zaawansowanej (ATMP) podano pacjentom dokolanoowo i po sześciu miesiącach sprawdzaliśmy stan chorych pod kątem różnych parametrów – opowiada Zuba-Surma. Naukowcy zaobserwowali m.in. znaczącą poprawę jakości życia i aktywności fizycznej pacjentów, która była skorelowana z istotnym obniżeniem symptomów osteoartrozy, w tym przewlekłego bólu. – To skok milowy w jakości życia pacjentów – mówi krakowska badaczka. Co więcej, u pewnej grupy osób obserwowano także istotną poprawę struktury chrząstki. – Lek działa zatem także w sposób przyczynowy. Teraz przygotowujemy się do badań klinicznych trzeciej fazy, co pozwoli nam skomercjalizować lek – dodaje prof. Ewa Zuba-Surma.

Pierwszym obszarem zastosowania opracowanego w Krakowie leku komórkowego jest ortopedia, ale naukowcy nie chcą się ograniczać tylko do niej. Potencjał naprawczy wykazują bowiem nie tylko same komórki macierzyste, lecz także wydzielane przez nie pęcherzyki zewnątrzkomórkowe, naturalne nanonośniki, które zawierają szereg substancji mogących m.in. wyciszać stan zapalny w tkankach, zwiększać efektywność powstawania nowych naczyń krwionośnych, czy też działać cytoprotekcyjnie, czyli ochronnie, na inne komórki rezydujące w uszkodzonych tkankach, co można wykorzystać w terapii różnych tkanek. ©

Wynalazek zespołu prof. Ewy Zuby-Surmy z Uniwersytetu Jagiellońskiego

Nowy typ ogniw słonecznych

Panele mogą być cienkie, giętkie i tańsze

N aukowcy z Politechniki Śląskiej w Gliwicach opracowali ogniwa słoneczne, które mogą się stać konkurencją dla chińskiej masówki. Wynalazek został zaprezentowany przez zespół z Laboratorium Naukowo-Dydaktycznego Nanotechnologii i Technologii Materiałowych.

Jak przyznaje dr inż. Marek Szindler, jeden z badaczy stojących za tym rozwiązaniem, podobne ogniwa są już dostępne na rynku, ale mają liczne ograniczenia. – Klasyczne ogniwa krzemowe są wykonane w technologii grubowarstwowej, są więc stosunkowo ciężkie, duże, sztywne, co ogranicza możliwość ich zastosowania, szczególnie w przypadku lekkich konstrukcji czy rozwiązań mobilnych – mówi. Ponadto ich produkcja wymaga zastosowania bardzo wysokich temperatur oraz dużej ilości materiału, co przekłada się na wysokie zużycie energii.

– W naszym rozwiązaniu warstwy aktywne mają bardzo małą grubość, rzędu kilkudziesięciu nanometrów, co oznacza mniejsze zużycie materiału. Mogą być też wytwarzane w niższej temperaturze. Dzięki temu możliwe jest obniżenie kosztów produkcji, zmniejszenie masy ogniw oraz całych paneli, a także uzyskanie efektu elastyczności, co też jest bardzo pożądane – mówi gliwicki naukowiec. Takie ogniwa mogą być bowiem nanoszone na podłoża szklane oraz folie polimerowe czy taśmy metalowe, co znacznie poszerza zakres ich zastosowania.

Ponadto technologia ich produkcji jest mniej szkodliwa dla środowiska niż ogniw tradycyjnych. Wytwarzane są bowiem w jednym procesie i w jednym urządzeniu, co umożliwia ograniczenie stosowania ilości niebezpiecznych chemicznych związków koniecznych do ich wytworzenia.

Dlatego mogą być tańsze niż starsze rozwiązania. – Istnieje tu duży potencjał, jeżeli chodzi o osiągnięcie konkurencyjności cenowej. Wynika to przede wszystkim z mniejszego zużycia materiału, niższej temperatury procesu,

co daje zmniejszoną energochłonność. I co bardzo ważne, takie ogniwa mogłyby w pełni produkować w Polsce czy Europie, co na pewno wpłynęłoby na stabilność łańcuchów dostaw – podsumowuje dr inż. Marek Szindler. ©

Wynalazek zespołu dr. inż. Marka Szindlera z Politechniki Śląskiej w Gliwicach

Kompas dla niewidomych

Nieskomplikowane urządzenie, które może pomóc w poruszaniu się

P roste rozwiązanie techniczne – laska orientacyjna – może się stać znakomitym uzupełnieniem zaawansowanej elektroniki i ułatwiać poruszanie się osobom niewidomym lub niedowidzącym. Na co dzień warszawski Instytut Transportu Samochodowego zajmuje się tematami związanymi z motoryzacją – to różnego typu badania homologacyjne, emisji spalin czy bezpieczeństwa ruchu. – Ale mamy też centrum zajmujące się potrzebami osób niepełnosprawnych ruchu, mających problem z mobilnością – mówi dr inż. Piotr Wiśniowski.

Inspiracją wynalazku byli jego znajomi, którzy nie widzą od urodzenia. Na co dzień takie osoby posługują się standardowymi białymi laskami, a także innymi aparatami, w tym elektronicznymi, które pozwalają orientować się w przestrzeni. – Moje urządzenie nie wymaga łączności satelitarnej ani internetowej. Działa autonomicznie. Możemy sobie wyobrazić taką sytuację: osoba niewidząca wychodzi z autobusu, ma w głowie plan, gdzie i jak pójść, ale nagle ktoś ją popycha, a ona traci orientację. Dzięki mojej laskie, która jest tak naprawdę kompasem, znajduje azymut, układa w głowie przebieg drogi z powrotem i wie, dokąd i jak iść – tłumaczy wynalazca.

Na pierwszy rzut oka urządzenie wygląda jak standardowa biała laska, ale w rękojeści umieszczono specjalny pierścień z wypustką haptyczną (dotykową). – Wypustka tak się obraca, że zawsze pokazuje północ. Jest połączona z silnikiem krokowym umieszczonym w rękojeści. Całość może być połączona również z elektronicznym

żyroskopem. Wszystko zasilił bateria – mówi dr inż. Piotr Wiśniowski.

Pomysł na nowy rodzaj laski orientacyjnej powstał niedawno. Zgłoszono patent i okazało się, że jeszcze nikt nie wpadł na podobne rozwiązanie. Kwestie projektu i testów są jeszcze przed jej twórcą. – To odpowiedni etap, by znaleźć partnerów, którzy byliby zainteresowani wdrożeniem wynalazku. Myślę, że dobrze by było, gdyby takie rozwiązanie było w każdej lasce dla osoby niewidomej. Nie zawsze trzeba z niego korzystać, ale warto mieć na wszelki wypadek – podkreśla twórca laski orientacyjnej. ©

Wynalazek zespołu dr. inż. Piotra Wiśniowskiego z Instytutu Transportu Samochodowego w Warszawie

Naturalny preparat przeciwgrzybowy

Bacillus velezensis KT27 poprawi kondycję roślin

Bakteria wyizolowana w ostatnich latach może się stać środkiem przeciwgrzybowym wspomagającym rozwój roślin uprawnych. Za odkryciem tych właściwości Bacillus velezensis KT27 stoi zespół naukowców pod kierownictwem prof. Romana Marcika z Katedry Biotechnologii i Mikrobiologii Żywności Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

– Nasz biopreparat to naturalny fungicyd, środek grzybobójczy, który może zastąpić chemiczne środki ochrony roślin. Potrafi też zwiększać przyswajalność składników mineral-

nych zawartych w glebie: z form niedostępnych dla roślin przekształca je do takich, które mogą pobierać, dzięki czemu można uzyskać większą ilość plonu bez konieczności zwiększania nawożenia – tłumaczy prof. Marcik. Ta druga właściwość jest niezwykle cenna, bo znacząco wpływa na wielkość roślin, podnosząc niekiedy produktywność nawet o kilkadziesiąt procent.

Odkrycie bakterii o tak pożądanym właściwościach to efekt wieloletniej pracy. – Nasza katedra od ponad 35 lat prowadzi różnego rodzaju badania mikrobiologiczne, do dzisiaj w kolekcji zdeponowaliśmy ponad 2 tys. szczepów bakterii oraz ok. 0,5 tys. rodzajów grzybów pleśniowych – mówi prof. Marcik. Bacillus velezensis KT27 został wyizolowany przez niezjadną już prof. Krystynę Trojanowską – stąd też dodatek „KT” w jego nazwie.

– Kilka lat temu zaczęliśmy się interesować właściwościami mikroorganizmów, które można wykorzystać w produkcji roślinnej. Przeanalizowaliśmy wtedy naszą kolekcję mikroorganizmów i w efekcie wyselekcjonowaliśmy ten szczep jako najbardziej atrakcyjny do zastosowania w uprawie i ochronie roślin – mówi naukowiec z Poznania. Dalsze prace wymagały żmudnych badań, których celem była optymalizacja wydajności namnażania bakterii przy jednoczesnym utrzymaniu ich właściwości metabolicznych.

Różnego rodzaju grzyby są wyjątkowo szkodliwymi patogenami roślin, wywołują choroby mogące obniżyć plony o 30–50 proc., a czasami wręcz niszczyć uprawy w taki sposób, że nie opłaca się ich zbierać. Bacillus velezensis KT27 przeszedł już pomyślnie testy laboratoryjne, szklarniowe i polowe. Obecnie jest wykorzystywany do produkcji spe-

cialnych biopreparatów dostępnych dla rolników. ©

Wynalazek zespołu prof. Romana Marcika z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu

Kamizelka balistyczna dla kobiet

W końcu funkcjonariuszki mają dopasowane wyposażenie

Funkcjonariuszki policji, Służby Więziennej Czy Straży Granicznej dzięki wynalazkowi z Łodzi zyskały stworzony dla nich element wyposażenia. Na rynku dominują kamizelki balistyczne tworzone z myślą o mężczyznach albo typu unisex. – Kobiety nie czuły się w nich komfortowo, bo kamizelki nie były dopasowane do ich sylwetek. U funkcjonariuszek z obfitszymi kształtami część kamizelki nie przylegała do ciała, a co za tym idzie, nie zapewniała odpowiedniej ochrony – mówi dr inż. Paulina Dmowska-Jasek z Instytutu Technologii i Bezpieczeństwa „Moratex”, jedna z twórczyni kamizelki. Poza tym takie luźne, niedopasowane kamizelki były niewygodne w noszeniu i znacząco utrudniały pełnienie obowiązków. Zwłaszcza te przeznaczone do umieszczenia pod ubraniem (kamizelki skrytego noszenia).

Nowy typ kamizelki został stworzony w konsorcjum naukowo-przemysłowym, w skład którego wchodziły Instytut Technologii i Bezpieczeństwa „Moratex”, Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi, Centralny Instytut Ochrony Pracy,

Przedsiębiorstwo Sprzętu Ochronnego Maskpol S.A. oraz Motex sp.j.

– Nasz wynalazek składa się z kamizelki ochronnej wyposażonej w opatentowany wkład balistyczny oraz z systemu korekcyjnego, czyli stanika mającego za zadanie kompresować biust w zależności od rozmiaru. Nasz system rozróżnia małe i średnie oraz osobno duże biusty – mówi współautorka wynalazku inż. Małgorzata Kudlińska z Instytutu Technologii i Bezpieczeństwa „Moratex”.

Zastosowanie tych rozwiązań pozwala spłaszczyć biust. – Warstwa wewnętrzna kamizelki ukrywa pod sobą różnego rodzaju elementy i cięcia, których zadaniem jest stabilizacja piersi, każdej z osobna, aby dopasowanie całego systemu do ciała było jak najlepsze – dodaje inż. Kudlińska. System modułowy zapewnia dwa różnorodne stopnie ochrony. Podstawowym poziomem ochrony jest standardowy – według polskiej normy poziom K2O3, zapewniający kulo- i odłamkoodporność. – Dodatkowo w zależności od potrzeby można zastosować specjalną wkładkę igło-, szpikulco- i ostrzoodporną, zapewniającą ochronę przeciwko broń białej. To istotne w przypadku funkcjonariuszek Służby Więziennej, gdzie ryzyko wystąpienia ataków z takimi narzędziami jest znacznie większe – mówi Paulina Dmowska-Jasek.

Testy przeprowadzone z udziałem 50 przedstawicielek służb mundurowych przyniosły pozytywne rezultaty. Ponad 85 proc. użytkowników nowych kamizelek było zadowolonych z ich użytkowania. ©

Wynalazek Instytutu Technologii i Bezpieczeństwa „Moratex”, ASP im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi, Centralnego Instytutu Ochrony Pracy, Przedsiębiorstwa Sprzętu Ochronnego Maskpol S.A. oraz Motex sp.j.

Blżej potrzeb niż technologii

FOT. MAT. PRASOWE



Oliwia Czarnocka

rzecznik patentowy
JWP Rzecznicy
Patentowi

Na pierwszy rzut oka tegoroczne nominacje do konkursu „Eureka! DGP – odkrywamy polskie wynalazki” nie mają ze sobą wiele wspólnego, wszak medycyna, energetyka, rolnictwo, bezpieczeństwo czy mobilność to odległe obszary. Przy bliższym spojrzeniu widać jednak wspólny mianownik, sposób definiowania problemu.

Pierwotnym impulsem do prac nad wynalazkami była realna potrzeba użytkownika, pacjenta, rolnika, funkcjonariuszki czy osoby niewidomej; dopiero potem naukowcy dobierali odpowiednie narzędzia techniczne. Z perspektywy własności intelektualnej takie podejście zwiększa szanse na stworzenie rozwiązania trudnego do obejścia, zakorzenionego w funkcji, a nie tylko w formie.

Terapia z wykorzystaniem komórek AT-MSC pokazuje, że istotą innowacji może być złożony proces, a nie pojedynczy element; w takich przypadkach kluczowe znaczenie ma know-how, które często stanowi realną barierę dla konkurencji.

Podobnie w biotechnologii rolniczej ochrona obejmuje nie tylko mikroorganizm, ale też sposób jego namnażania i zastosowania, wpisując się w trend odchodzenia od chemicznych środków ochrony roślin. Z kolei laska orientacyjna to przykład innowacji poprzez uproszczenie; odejście od elektroniki zwiększa niezawodność, a dobrze uchwycona funkcja może być równie trudna do odtworzenia jak złożone systemy. Cienkowarstwowe ogniwa słoneczne pokazują znaczenie procesu wytwarzania jako kluczowego elementu przewagi konkurencyjnej, a kamizelka balistyczna dla kobiet – jak uwzględnienie różnic użytkowych przekłada się na realną wartość rynkową.

Wspólnym mianownikiem tych projektów jest podporządkowanie technologii konkretnemu zastosowaniu. To podejście nie tylko zwiększa szanse rynkowe, ale też sprzyja uzyskaniu skutecznej i trwałej ochrony. Tegoroczne nominacje pokazują, że innowacje często zaczynają się od trafnie postawionego pytania o potrzeby. ©

AUTOPROMOCJA

EUREKA

ODKRYCIE TYGODNIA

Wynalazki made in Poland

zaprasza Anna Piotrowska,
Dziennik Gazeta Prawna

Oglądaj na
dgp.pl/wideo

Gospodarka

Z głową w chmurze

Potencjał unijnych centrów danych jest kilkukrotnie mniejszy niż w przodujących USA i Chinach. UE – a więc i Polska – stoi przed nie lada dylematem: jak zachować zrównoważony rozwój, a przy tym rozwijać tę technologię szybciej niż czołówka, która takich skrupułów nie ma

Piotr

Wójcik

W 2010 r. w Berkeley zmarł David Blackwell, siódmy Afroamerykanin w historii, który obronił doktorat w USA. Półtorej dekady po śmierci czarnoskóry matematyka, na drugim końcu Zatoki San Francisco, w hrabstwie Santa Clara, hegemon branży półprzewodnikowej Nvidia postanowił go uczcić, nadając jego nazwisko swoim najnowszym procesorom graficznym. Architektura Blackwell, opierająca się na chipach innego giganta, tajwańskiego TSMC, to układy przeznaczone do przeprowadzania wielkoskalowych obliczeń w bardzo szybkim czasie, uczenia generatywnej sztucznej inteligencji (GenAI) oraz do utrzymywania potężnych centrów danych. Do grania na komputerze też, chociaż zamiast składać karty graficzne za parę tysięcy dolarów (ich dostawy właśnie wstrzymano), firma zdecydowanie stawia na produkcję wielkich szaf obliczeniowych za kilka milionów. Takich jak np. NVL72, składającą się z 36 procesorów CPU i aż 72 układów GPU Blackwell. Cena wynosi ok. 3 mln dol. Moc przyłączeniowa jednej takiej maszyny to ok. 120 kW. Dla porównania, starsze zwykłe szafy serwerowe, bazujące na samych jednostkach CPU, mogły pochłoniąć maksymalnie ok. 10 kW. W nowoczesnych centrach danych o większej skali może się znajdować kilkaset systemów NVL72, a w największych – kilka tysięcy.

Serwerownia jądrowa

Jesienią zeszłego roku szef koncernu Oracle Larry Ellison (zbieżność nazwisk z przejmującym właśnie Warner Bros Davidem jest nieprzypadkowa – to jego syn) zapowiedział zbudowanie wspólnie z OpenAI kampusu danych Stargate, gdzie będzie pracować 450 tys. układów Grace Blackwell 200. Zważywszy na to, że jedno GB200 to w rzeczywistości dwa procesory GPU i jeden lub dwa CPU, łączna liczba zainstalowanych jednostek obliczeniowych robi się zupełnie nieprawdopodobna. Wyżej opisanych szaf zależnie od konfiguracji, mogłoby tam stać nawet kilkanaście tysięcy. Początkowo

Stargate miał obejmować „tylko” 64 tys. układów, ale gdy producent ChatGPT zacieśnił związki z Nvidią, która obiecała zainwestować w firmę Sama Altmana 100 mld dol., ambicje kooperantów radykalnie wzrosły. Powstająca w Abilene, w Teksasie instalacja będzie miała moc przyłączeniową wynoszącą... 1,2 GW. Inaczej mówiąc, do utrzymywania jej pełnej mocy trzeba by oddelegować cały jeden reaktor jądrowy powstającej właśnie elektrowni Westinghouse w Choczewie.

Polski matematyk Jerzy Neyman byłby zapewne szczęśliwy, że układy nazwane na cześć jego serdecznego kolegi z Uniwersytetu Berkeley dotarły również nad Wisłę. Jesienią zeszłego roku w Poznaniu pracę rozpoczął kampus firmy Beyond.pl, w skład którego wchodzi 248 procesorów graficznych B200, więc trudno go nawet porównać z planami Ellisona i Altmana. Docelowa moc wielkopolskiego centrum danych ma być znacznie większa. Plany mówią o osiągnięciu mocy 150 MW, czyli zaledwie osiem razy mniej niż od instalacji w Teksasie – i to nie jest sarkazm – ale to wciąż pieśń dalekiej przyszłości. Otwieranych instalacji jest więcej. W drugiej połowie 2025 r. firma Atman otworzyła pierwszy z trzech planowanych kampusów w Warszawie. Jak na razie jego moc to niespełna 15 MW, ale docelowo ma być potrojona.

Według Polish Data Center Association w 2025 r. huby danych ulokowane w Polsce miały moc przekraczającą 200 MW, co i tak oznacza dwukrotny przyrost w ciągu trzech lat. Budowa centrów danych w naszym kraju to świeża sprawa, więc jak w każdej branży kończącej etap raczkowania aktualne liczby nie są efektywne. Wzrosty – wręcz przeciwnie. Do końca dekady prognozuje się przekroczenie 600 MW przez wszystkie zlokalizowane w Polsce kampusy chmurowe. Jest to prawdopodobne, gdyż własną infrastrukturę nad Wisłę uruchamiają także najwięksi dostawcy usług cyfrowych. Polska ma się stać centrum chmurowym na Europę Środkowo-Wschodnią dla Microsoftu. W związku z tym gigant z Redmond zainwestuje u nas kolejny miliard dolarów w celu rozbudowy istniejących już placówek. W 2020 r. inwestycje warte łącznie 2 mld dol. zapowiedział ulokowany w stolicy Google Cloud.

Powrót na ziemię

Nie ma co się jednak czarować – Polska na tle liderów jest wciąż co najwyżej średniakiem. Głównym węzłem dla regionu pozostają Niemcy, a konkretnie Frankfurt nad Menem. Według „EMEA Data Centre Report 2025” na koniec 2025 r. kampusy danych w tym mieście osiągnęły łączną moc przyłączeniową rzędu 977 MW. W Europie rządzi rynek FLAP-D – czyli Frankfurt, Londyn, Amsterdam, Paryż i Dublin. Spośród nich największym hubem jest stolica Wielkiej Brytanii (przeszło 1,1 GW). Cały rynek FLAP-D pochłania 3,6 GW, czyli około jednej trzeciej mocy przyłączeniowej wszystkich instalacji ulokowanych w Unii Europejskiej. UE pozostaje jednak daleko w tyle za liderami. Według danych Międzynarodowej Agencji Energetyki w 2024 r. unijne centra danych osiągnęły niespełna 12 GW, czyli prawie trzykrotnie mniej od chińskich (32 GW) i niemal pięciokrotnie mniej od amerykańskich (54 GW). Obok zapóźnień w branży półprzewodnikowej, usługach cyfrowych i produkcji uzbrojenia to jeden z głównych problemów Europy. W związku z tym w maju Komisja Europejska ma ogłosić plan potrojenia potencjału unijnych centrów danych w ciągu siedmiu lat.

Z usług chmurowych de facto korzysta każdy użytkownik sieci. Wystarczy wejść na dowolną stronę, na 99,99 proc. jest ona utrzymywana przez zewnętrzny host, ale serwerownie mają też znacznie bardziej zaawansowane funkcje. Według Eurostatu w 2025 r. 53 proc. przedsiębiorstw w UE korzystało z jakichś usług chmurowych – w Polsce 54 proc. Większość unijnych firm wykorzystuje jednak tylko zupełnie podstawowe możliwości. 85 proc. używa ich do utrzymywania adresów e-mailowych, a ponad 70 proc. do oprogramowania biurowego i przechowywania plików. 65,5 proc. do ochrony i bezpieczeństwa sieci, a 58 proc. do usług finansowych i księgowych. Na szarym końcu znajdują się najbardziej zaawansowane zadania. Tylko 26 proc. przedsiębiorstw w UE wykorzystuje zewnętrzne serwery do tworzenia i testowania nowych rozwiązań. 28 proc. podmiotów korzysta z oprogramowania służącego do re-

lacji z klientami, automatyzacji sprzedaży i marketingu. 30 proc. używa zewnętrznych serwerów do utrzymywania własnej zintegrowanej infrastruktury software'owej, która łączy różne funkcje w całość, dając lepszy obraz sytuacji. Niestety Eurostat nie podaje tych szczegółowych danych z podziałem na państwa członkowskie, ale jako że Polska na ogólnym tle wypada nieco powyżej przeciętnej, a pod względem cyfryzacji nie odstawiamy od Europy Zachodniej, to można założyć, że nad Wisłą jest podobnie.

Rozwój infrastruktury chmurowej jest szansą nie tylko dla europejskich firm, lecz także dla wymagających modernizacji regionów – szczególnie tych postindustrialnych, które mają już zwykłe sieci energetyczne i drogowe, a często także budynki, które można przynajmniej w części dostosować. Dobrym przykładem jest rozpoczynana właśnie budowa centrum danych na terenie niedawno zamkniętej fabryki Fiata w Bielsku-Białej. Inwestycja warta 1 mld dol. jest realizowana przez czołowego polskiego dewelopera we współpracy z amerykańskim dostawcą chmury dla gamingu Boosteroid. Początkowa moc przyłączeniowa wyniesie 82 MW, ale potencjalnie będzie mogła zostać rozbudowana do 200 MW, co stawałoby ją w ścisłej czołówce podobnych placówek w kraju. Być może nawet na pierwszym miejscu, gdyż trudno się spodziewać, że wcześniej zostanie zrealizowana inwestycja planowana w innym regionie z (przyszłymi) problemami – mowa o Hyperscale Data Center w powiecie bełchatowskim. Obecnie jest on najbogatszy w kraju, jednak w nadchodzącej dekadzie zakłada się zamknięcie obu wielkich zakładów, które zapewniały mu dotychczasową zamożność, czyli kopalni odkrywkowej węgla brunatnego oraz największej w Europie elektrowni węglowej. Jeśli inwestycja faktycznie dojdzie do skutku, to będzie to zdecydowanie największa placówka chmurowa w Polsce i jedna z największych na kontynencie. Jej planowana moc to aż 500 MW, czyli jedna dziesiąta maksymalnego osiągu pobliskiej elektrowni.

Dwukrotnie mniejszy kampus danych powstanie być może w Koninie, gdzie zamknięto już dwie elektrownie – Konin i Pątnów – a stworzenie przez spółkę ZE PAK bloku gazowego w Turku zaliczy opóźnienie do przyszłego roku.

Nie na moim podwórku

Centra danych teoretycznie mogą być świetnym sposobem na rewitalizację regionów, w których zamykane są stare instalacje wydobywcze i energetyczne, problem w tym, że one same będą wymagać dużych ilości prądu. Zakładając, że Polska spełni z nawiązką plany KE przewidujące trzykrotny wzrost potencjału unijnej chmury w latach 2028–2034 (co jest bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę nasz punkt wyjścia), moc nadwiślańskich placówek może sięgnąć nawet 1,5 GW w połowie przyszłej dekady. Popyt na moc wzrośnie więc o ok. 1,2 GW w porównaniu z aktualnymi potrzebami tylko z powodu rozwoju chmury. A przecież szybkiej elektryfikacji podlega niemal cała gospodarka. Cyfryzacja dotyczy właściwie wszystkich branż, elektryfikuje się transport, produkcja

TECHNOLOGIA

i usługi się automatyzują, a sztuczna inteligencja – rozwija. W wielu z tych obszarów – szczególnie w automatyzacji przemysłu – Polska ma duże zapóźnienia, więc wzrost popytu na prąd będzie przyrastać względnie bardziej niż na zachodzie kontynentu. Żeby spełnić wszystkie rosnące potrzeby, do końca dekady nowe moce zainstalowane w kraju powinny sięgnąć ponad 50 GW, a jeśli mamy przy tym nie zniszczyć środowiska, to ponad 40 GW powinno pochodzić z OZE. To akurat jest do zrobienia – mowa o dodatkowych 10 GW rocznie. Według raportu Forum Energii w 2025 r. pojawiło się ponad 6 GW nowych mocy, przy czym aż za 4,7 GW odpowiadała fotowoltaika. Prawdziwy problem dotyczy magazynów energii, gdyż OZE są niestabilne – jednego dnia podaź dwukrotnie przewyższy popyt, a innego będzie bliska zera. W związku z tym moc polskich magazynów energii powinna z końcem dekady sięgnąć 17 GW, tymczasem w zeszłym roku było to ledwie ok. 3 GW.

Ułatwieniem będzie to, że część powstających instalacji chmurowych zostanie wyposażona we własne źródła energii, które pokryją część zapotrzebowania. Tak będzie m.in. w kampusie Atmana w Warszawie i centrum danych w byłej fabryce Fiata w Bielsku-Białej. W Europie mogą się jednak pojawić problemy związane także z samym wytwarzaniem niezbędnego prądu. Polska w tej branży korzysta z premii za zapóźnienie, dzięki czemu oddawane czy istniejące już placówki chmurowe są wyposażone w nowoczesne rozwiązania. W Europie Zachodniej jest zaś wiele serwerowni już wysłużonych. Według danych Politi-

co mniej więcej połowa istniejących centrów w Europie jest nieefektywna energetycznie – duża część prądu jest tracona na chłodzenie i utrzymanie infrastruktury, a nie na potencjał obliczeniowy.

Poza tym inwestycje w chmurę mają zwykle charakter wyspowy, co oznacza kumulację popytu na niewielkich obszarach. Najlepiej widać to w Irlandii, gdzie centra danych zużywają już więcej prądu niż gospodarstwa domowe. W Dublinie do grudnia 2025 r. obowiązywał wręcz czasowy zakaz podpinania nowych placówek chmurowych do sieci miejskiej. W jego miejsce wszedł nakaz wytwarzania przez nie prądu na miejscu.

Przeciw budowie kampusów danych protestują często lokalni mieszkańcy, a podejście obywateli państw, w których są one najbardziej rozwinięte, jest zwykle sceptyczne. W Polsce z budową centrum danych walczą mieszkańcy Kajetan w gminie Nadarzyn na Mazowszu.

Według portalu Futurism.com tylko 4 proc. Amerykanów uważa, że centra danych per saldo są dobre dla lokalnego środowiska. 39 proc. było przeciwnego zdania. Tylko 6 proc. uważa, że centra danych mają pozytywny wpływ na jakość życia i koszty energii. Sondaż grupy Beyond Fossil Fuels przeprowadzony w pięciu krajach europejskich (Wielka Brytania, Niemcy, Irlandia, Szwajcaria, Hiszpania) w październiku 2025 r. wskazuje, że około trzech czwartych respondentów uważa, że nowe obiekty powinny być budowane wyłącznie wtedy, gdy będą wspierane przez własną energię odnawialną, a rządy powinny jasno określić zasady dotyczące podziału dostępnej lokalnie energii.

Walka o wodę

W Polsce ceny prądu dla konsumentów są regulowane, więc ten aspekt społecznego sprzeciwu teoretycznie nie powinien odgrywać równie wielkiej roli. Co innego dostęp do wody, która jest zużywana w ogromnych ilościach do chłodzenia szaf serwerowych. Według analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego do końca 2028 r. światowe centra danych mogą zwiększyć własne zużycie wody dwukrotnie w stosunku do roku 2023.

„Obecnie nawet średniej wielkości centra danych zużywają rocznie tyle wody, co 1 tys. gospodarstw domowych. Duże centra danych w USA zużywają roczny ekwiwalent wody spożytkowanej przez miasto liczące nawet 50 tys. mieszkańców” – piszą autorzy analizy PIE w „Tygodniku Gospodarczym” z 11 grudnia 2025 r. Susza dotyka szczególnie huby zlokalizowane w regionach pustynniejszych. W USA centra pogłębiają problem suszy w Arizonie, a w UE – w hiszpańskiej Aragonii oraz we włoskiej Lombardii. Tymczasem Polska ma jedno z najmniejszych odnawialnych zasobów wody w Europie – na 1 tys. mieszkańców przypada jej 1,6 mln m sześć. rocznie. W Hiszpanii i Niemczech to 2,1 mln m sześć., a w Francji równe 3 mln m sześć., a w Irlandii aż ponad 10 mln m sześć. Co więcej, tego typu projekty przyciąga najbardziej pustynniejsza Wielkopolska (instalacje w Poznaniu czy Koninie).

Trzeba też pamiętać, że inwestycje w huby procesorów i pamięci mo-

gą zwiększać nierówności. Nie tylko dochodowe – gdyż dają one pracę głównie wysoko wykwalifikowanym pracownikom – lecz przede wszystkim terytorialne. Według danych UNCTAD centra danych odpowiadają już za ponad jedną piątą światowych inwestycji typu greenfield (budowa od podstaw). Dwie trzecie z nich przypada jednak na państwa o wysokich dochodach. To rozwarstwienie pojawia się też w skali poszczególnych krajów. W Europie dominują pod tym względem najbogatsze miasta (FLAP-D), podobnie zresztą w Polsce – na czele zdecydowanie są Warszawa i okolice, a za nimi aglomeracje krakowska, poznańska i wrocławska.

UE stoi więc przed nie lada wyzwaniem. Musi się starać zachować zrównoważony rozwój oraz wysokie standardy jakości życia i ochrony środowiska, a przy tym rozwijać technologię szybciej niż czołówka, by dogonić USA i Chiny, które tak wysoko poprzeczki pod względem społecznym i ekologicznym sobie stawiają. Przypomina to dylemat dotyczący rozwoju śmiertelnej AI – z jednej strony nie wypada, ale z drugiej można mieć pewność, że przeciwnicy nie będą mieli skrupułów. Zresztą dylematy związane ze sztuczną inteligencją pojawiają się również w przypadku nowoczesnych serwerowni. Znaleźcie złotego środka świetnie wygląda w teorii, ale w praktyce niemal nigdy się nie udaje. W tym wypadku chyba jednak warto iść na większe ustępstwa i trudne kompromisy, żeby nie skończyć z głową w chmurach, w których największe mocarstwa już się wygodnie rozsiadają. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dane potrzebują dużo ropy

Artur Klimek

Zakłócenia w światowym przepływie ropy naftowej wpływają na branżę technologiczną w podobnym stopniu jak na „fizyczną” część gospodarki. Świat cyfrowy wymaga drogiej i skomplikowanych urządzeń, a do ich budowy potrzeba dużo pierwiastków i paliw kopalnych. Funkcjonowanie serwerów umieszczonych w tysiącach centrów danych wymaga też stabilnych dostaw energii.

Znajdująca się na Tajwanie firma TSMC to największy na świecie producent chipów komputerowych. Procesory wytwarzane przez narodowego czempiona na zlecenie amerykańskiej Nvidii mają ogromny wpływ na gospodarkę wyspy, m.in. na nadwyżkę handlową, wysoki poziom industrializacji, a nawet kurs walutowy.

Za sprawą silnego popytu na kości pamięci wykorzystywane w akceleratorach sztucznej inteligencji (AI) w marcu mocno wzrósł eksport Korei Południowej. W tym samym czasie ważny producent RAM Samsung Electronics poinformował, że w pierwszym kwartale tego roku jego zysk zwiększył się ośmiokrotnie w porównaniu z tym samym okresem w 2025 r. Ponieważ spodziewane są dalsze niedobory, ceny kości pamięci mogą pójść w górę o kolejne kilkadziesiąt procent i jeszcze bardziej napędzać marżę.

Produkcja podzespołów komputerowych jest bardzo energochłonna. To dlatego po amerykańsko-izraelskim ataku na Iran koreańska giełda zareagowała najbardziej gwałtowną wyprzedacją akcji. Z jednej strony było to związane z ogromnymi wzrostami notowanymi w pierwszych dwóch miesiącach roku. Z drugiej strony koreańska gospodarka jest podatna na zakłócenia w dostawach prądu.

Energia odgrywa ważną rolę w podejmowaniu decyzji o lokowaniu produkcji półprzewodników. Amerykańskie władze od dawna zabiegają u Azjatów o umieszczenie zakładów wytwarzających najbardziej zaawansowane chipy właśnie w USA. Początkowo wysiłki te miały formę marchewki (subsytia), ostatnio – bardziej kija (cła). Trudności w dostawach ropy stają się jeszcze mocniejszym argumentem na korzyść Stanów Zjednoczonych, które mają dużo tańszą energię.

Do produkcji półprzewodników niezbędne są też pierwiastki powstające jako produkty uboczne wydobycia ropy i gazu ziemnego. Roztworów siarki używa się do oczyszczania powierzchni płytek krzemowych. Z kolei hel jest stosowany do chłodzenia otoczenia, w którym są wytwarzane podzespoły. Pierwiastki te mają niewielki udział w kosztach produkcji, ale zależy od nich sprawne funkcjonowanie łańcuchów wartości. Zwłaszcza że trudno znaleźć ich zamienniki.

Oprócz samej produkcji sporo energii pochłania transport chipów. Ze względu na wrażliwość podzespołów komputerowych i konieczność ich szybkiego przemieszczania na duże odległości domyślną opcją stała się droga powietrzna. Ceny paliwa lotniczego poszybowały w górę, ale to nie zniechęci producentów półprzewodników do zmiany formy transportu – jego koszty i tak są relatywnie niskie w porównaniu z wartością ładunku.

Kraje Zatoki Perskiej, które aspirują do zdywersyfikowania swoich gospodarek, wydawały się naturalnym miejscem do rozwoju sztucznej inteligencji. Pieniądze, energia, ambicje – to czynniki, które mogą stanowić o ich przewagach. Doskonale wpisywało się to w plany Białego Domu, który chciał, aby państwa Bliskiego Wschodu stały się hojnymi sponsorami nowych technologii opracowywanych przez amerykańskie firmy. Ich gospodarki potrzebują centrów danych, ale jeszcze ważniejsze jest dla nich stworzenie międzynarodowego hubu AI. Ryzyko konfliktów zbrojnych w regionie skomplikuje realizację tych planów. Budowane za miliardy dolarów centra danych mogą bowiem stanowić atrakcyjny cel uderzenia wroga. Dobrze to pokazuje wojna w Iranie – infrastruktura technologiczna sąsiadów stała się jednym z atakowanych obiektów. Systemy antydronowe i antyrakietowe, które można wykorzystać do ochrony, są drogie i nie zawsze skuteczne.

Obawy o bezpieczeństwo stawiają pod znakiem zapytania inwestycje w rejonie Zatoki Perskiej. W marcu, po atakach na dwa centra danych Amazonu w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, spółka ogłosiła wstrzymanie działalności. Również inni operatorzy borykają się z zakłóceniami. Meta, czyli właściciel Facebooka, ogłosiła zawieszenie części projektu 2Africa, którego celem jest oplenienie światłowodami Afryki i połączenie jej z Europą, z państwami Bliskiego Wschodu oraz Indiami i Pakistanem.

Przewrotną zależność między danymi a dostawami ropy obrazuje sytuacja w cieśninie Ormuz. Informacje o ruchu tankowców nie muszą oznaczać prawdziwego przepływu ropy. Ruch statków jest najczęściej określany na podstawie wysyłanych przez nie sygnałów. Wyłączenie systemu łączności może jednak zakłócić analizy. Dlatego amerykańska firma analityczna Citrini Research wysłała na miejsce swojego przedstawiciela do obserwowania ruchu statków. Analityk stwierdził, że mimo zamknięcia cieśniny przez Iran część tankowców przez nią przepływała. Dane i ropa są więc ze sobą ściśle powiązane – przewagę będą miały gospodarki zdolne wpływać na oba te zasoby. ©

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Historia

Wodzowie, naukowcy, rabusie

O dobrach kultury mówi się, że są wspólne. Przez wieki niektórzy rozumieli tę prawdę zbyt dosłownie – jako zachętę do rabowania najcenniejszych zabytków

Sebastian

Pawlina

„Zobaczyć Neapol i umrzeć” – fraza przypisywana Johannowi Wolfgangowi von Goethe bez szkody dla sensu mogłaby objąć cały Półwysep Apeniński plus Sycylię i Sardinie. Bo istotnie pod wieloma względami trudno o miejsce bardziej olśniewające niż Italia z błękitem nieba, strzelistością cyprysów i bogactwem zabytków, o którym świadczą gęsto zapisane stronicie. Prawdopodobnie żaden inny kraj nie doczekał się tak bogatej literatury podróżniczej.

Szczególne miejsce w niej zajmuje dzieło wędrującego po Italii w połowie XIX w. Ferdynanda Gregoroviusa, niemieckiego historyka, badacza dziejów średniowiecznego Rzymu. W 1856 r. w szkicu o pomnikach florenckich pisał o widoku miasta z oddalenia, o oryginalnych, brunatno-czarnych bryłach domów, pośród których wybijają się „osobliwa wieża Palazzo Vecchio, dalej kopuła katedralna Brunelleschiego, kampanila Giotta, mroczne, przypominające warowne zamki pałace epoki gibelinów”. Wszystko to razem tworzy obraz harmonijny i głęboki, a jednocześnie zmuszający do zastanowienia, „jak pośród tych posępnych zwartych murów zdołano zgromadzić najwspanialsze dzieła ludzkiego ducha, prace przeszło tysiąca artystów, trud i radość stuleci, i jak mogli pomieścić się tu obok siebie i kolejno, jedni po drugich, wszyscy owi geniusze, których posągi zdobią dziś Uffizie, Włochy i świat”.

Prawie 40 lat wcześniej stolicę Toskanii odwiedził Marie-Henri Beyle, francuski pisarz lepiej znany jako Stendhal.

W swoich zapiskach z włoskiego itinerarium odnotował, że oglądanie skarbów Florencji wywołało w nim czysto fizjologiczne reakcje. Po wyjściu z Kościoła św. Krzyża (Santa Croce) poczuł wyczerpanie. „Szedłem z obawą, że upadnę”, wspominał. Przez kolejne dni odczuwał przyspieszone bicie serca i walczył z gorączką. W 1979 r. Graziella Magherini, włoska psychiatra, po odnotowaniu większej liczby podobnych reakcji na przebywanie wśród nagromadzenia florenckich dzieł sztuki nazwała to zjawisko syndromem Stendhala. Włochy dosłownie zapierają dech w piersiach.

Wędrując uliczkami Florencji, Bolonii, Rzymu czy Rawenny, gdzie zachwył się z podziwem, nietrudno to zrozumieć. Paradoks tej sytuacji polega na tym, że w tym krajobrazie brakuje tysięcy obrazów, rzeźb i budowli, które przez wieki padały ofiarą głupoty, nienawiści oraz pożądania.

Jak ukraść „Ostatnią wieczerzę”

Półwysep Apeniński od czasów starożytnych był areną niemal nieustających wojen. Poza krótkimi okresami spokoju przez Italię przetaczały się armie spragnione nie tylko zwycięstw, lecz także łupów. Tak było, gdy Rzym zdomował się sprawować niepodzielną władzę nad znanym światem, a przybrało na sile w średniowieczu i trwało w kolejnych wiekach. Państwa włoskie funkcjonowały wówczas podzielone i często skłócone. Jeszcze w połowie XIX w. było ich dziewięć. Rządzące nimi dynastie i rody, wśród nich tak potężne i zasłużo-

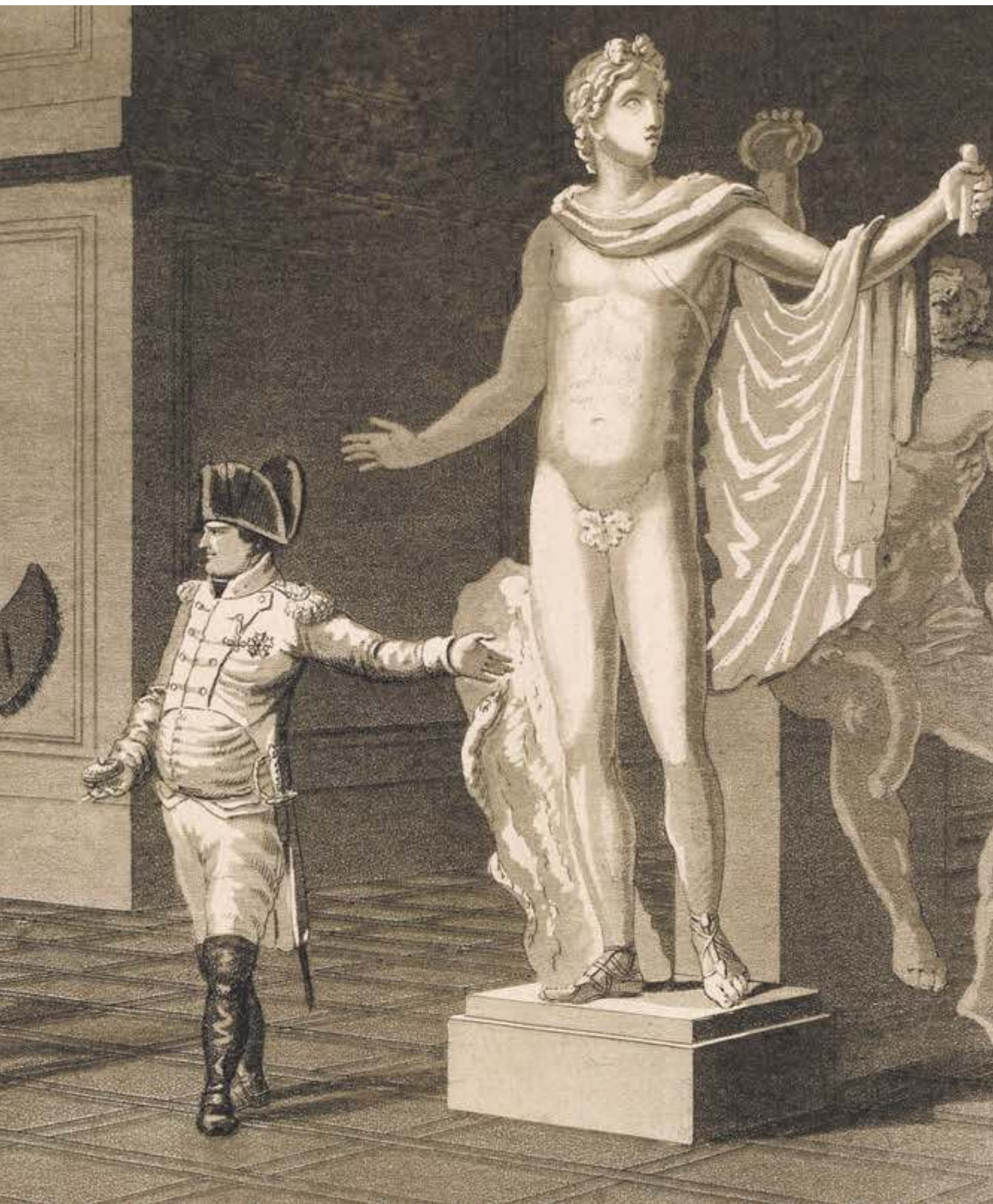


ne dla rozwoju kultury jak Medyceusze i Sforzowie, potrafiły się okresowo przeciwstawić europejskim potęgom, ale w dłuższej perspektywie musiały uznać ich wyższość. Przez kilkadziesiąt lat kart nie rozdawali więc Włosi, lecz Francja, Hiszpania i Austria (ostatnie dwa kraje pod panowaniem Habsburgów).

W 1525 r., w bitwie pod Pawią, król Hiszpanii wziął do niewoli władcę Francji. Starcie to było decydującym momentem trwających 65 lat wojen włoskich, serii konfliktów, które zapoczątkowały francuskie pretensje do tronów w Neapolu i Mediolanie. Ich konsekwencją były straty ludnościowe, chaos polityczny, osłabienie gospodarki, ale i zniszczone oraz zrabowane dzieła sztuki. Gdy jesienią 1499 r. wojska francuskie zajęły Mediolan, żołnierze z nudów zaczęli ćwiczyć strzelanie do... konia, a konkretnie do jego gipsowego modelu, który miał posłużyć do wykonania odlewu do pomnika Franciszka I Sforzy. Jego autorem był Leonardo da Vinci, a funda-

torem Ludwik Sforza, książę Mediolanu. Z nielicznych zachowanych opisów wiadomo, że dzieło miało imponować rozmachem i realizmem. Przygotowując się do pracy, da Vinci studiował antyczne rzeźby, anatomię konia, obmyślał, jak jednym odlewem wykonać figurę wysoką na 7 m i ważącą 75 t. Efektów jego pracy nikt nigdy nie poznał. Gipsowy wzór z uszkodzeniami przewieziono do Ferrary, gdzie uległ zniszczeniu.

Bliskie przenosin było inne dzieło Leonarda – „Ostatnia wieczerza”. Malowidło znajdujące się na ścianie w Bazylice Santa Maria delle Grazie w Mediolanie zostało ukończone w 1497 r., a już dwa lata później król Francji Ludwik XII polecił przenieść je do siebie. Gdyby znalazł architekta zdolnego do przeprowadzenia takiej operacji, żeby oglądać słynną scenę, dzisiaj moglibyśmy jeździć nie do Lombardii, ale nad Loarę albo do Luwru. Poziom komplikacji okazał się jednak silniejszy od pragnienia monarchy.



FOT. EVERETT COLLECTION/SHUTTERSTOCK

Pocznania Francuzów w Mediolanie były jednak niczym wobec wydarzeń w Rzymie w 1527 r. W historii zapisały się jako sacco di Roma, czyli złupienie Rzymu. Miasto zdobyły wojska Karola V, króla Hiszpanii. Przez następne osiem miesięcy kradły wszystko, co przedstawiało wartość (nie artystyczną, lecz finansową, choć te miary często się łączyły), a resztę palily i niszczyły. W efekcie, jak zgodnie oceniają historycy, zagładzie uległ Rzym renesansowy.

Nie była to pierwsza tego typu katastrofa, która spadła na Wieczne Miasto. Od 390 r. p.n.e. było ono płądrowane co najmniej dziewięciokrotnie. Można jedynie spróbować wyobrazić sobie bogactwo stolicy Włoch bez tych najazdów. Myśląc o tym, nie sposób jednak nie usłyszeć chichotu Historii. Bo to właśnie Rzym, jeszcze ten starożytny, rozwinął na skalę masową wojenne niszczenie oraz rozkradanie dorobku kulturalnego przeciwnika. Wystarczy wymienić starcie w pył Kartaginy, zbu-

ruzenie Świątyni Salomona w Jerozolimie, spalenie części Biblioteki Aleksandryjskiej czy w końcu rabunki Gnejusza Pompejusza Wielkiego na Wschodzie. Aby móc pokazać zwiezione przez niego nad Tyber malowidła oraz złote i srebrne posągi, wybudowano specjalny teatr dla publiczności.

Dał im przykład Bonaparte

Długo na rabunkach dzieł sztuki rosły prywatne fortuny ludzi, rodów, monarchii. Wielka Rewolucja Francuska sprawiła jednak, że wojenne kradzieże nabrały motywacji narodowej.

10 sierpnia 1793 r. w Paryżu swoje podwoje dla zwiedzających otworzył Luwr. Dzisiaj w jego zbiorach znajduje się ponad 600 tys. obiektów, z czego prawie 40 tys. można zobaczyć na co dzień w salach wystawowych.

Napoleon Bonaparte pokazuje w dyrektoriacie skarby zrabowane podczas pierwszej kampanii włoskiej (1797 r.)

Wtedy na ciekawych czekało 537 obrazów i 184 inne dzieła sztuki. Żeby szybko zwiększyć kolekcję, która miała się stać pomnikiem potęgi narodu francuskiego, trzeba było sięgnąć po to, co już było dostępne.

Dlatego też dyktoriał, który doszedł do władzy w 1795 r., polecił cywilnym komisarzom na podbijanych terenach, aby zabierali z tychże całe księgozbiory, mapy, obrazy, rysunki, posągi, meble. Wszystko, co przedstawiało wartość materialną i artystyczną. Jan Świeczyński, prawnik specjalizujący się w kwestii kradzieży dzieł sztuki, w pracy „Grabieżcy kultury i fałszerze sztuki” zacytował wypowiedź jednego z ów-

czesnych polityków francuskich, który komentując działania podejmowane na terenach Belgii i Holandii, powiedział „szkoła flamandzka powstaje masowo, aby zdobić nasze muzea”. Przypływ cennych okazów był olbrzymi. W murach Luwru znalazło się wtedy nagle ponad 60 obrazów Petera Paula Rubensa czy polptyk gandawski Huberta i Jana van Eycków.

W Paryżu wiedziano jednak, że największe znane skarby są we Włoszech. Tym, który miał dopilnować, aby Półwysep Apeniński podzielił się swoimi obrazami i rzeźbami, był młody, obiecujący generał – Napoleon Bonaparte. I doskonale się ze swojej roli wywiązał. Zadał, aby w każdym z traktatów pokojowych z państwami włoskimi znalazły się artykuły określające liczbę i rodzaj zabytków kultury, które te przekazały Republice Francuskiej. Podpisanie takiego dokumentu nie udało się uniknąć nawet papieżowi. Tylko z Florencji Bonaparte wyjechał z niczym. Okazało się bowiem, że władający miastem Medyceusze już wcześniej zapisali tamtejszej Gallerii degli Uffizi całość zbiorów. W języku propagandy oznaczało to, że nie jedna osoba, a cały naród jest właścicielem kolekcji. Napoleon działający w imieniu Francji, która właśnie jako naród wyzwoliła się spod władzy monarchów, nie mógł nic zrobić, jeśli nie chciał ośmieszać ideałów, w których obronie oficjalnie walczył. Ale i bez tego łupy spływały do Francji szerokim strumieniem.

Napoleon nie był jedynym, który przyłożył rękę do tych rabunków gwarantowanych prawem ustanawianym pod przymusem. Towarzyszyli mu doradcy, naukowcy i artyści, tacy jak Stendhal. Na długo przed tym, zanim napisał „Czerwone i czarne”, był ambitnym oficerem, uczestnikiem kampanii we Włoszech czy w Rosji w 1812 r. Jego postawę w tych latach streścił Świeczyński, pisząc, że „za każdym razem przekraczał granicę tego, co ustalono, i zabierał, ile tylko mógł”. Kilka lat później we Florencji zachwycał się tym, czego wcześniej nie mógł zabrać z Napoleonem.

Prym w korpusie rabusiów niepodzielnie wiodł jednak Dominique Vivant-Denon, dyrektor Luwru – postać równie barwna, co kontrowersyjna. Z jednej strony przyjaciel Woltera, faworyt króla Ludwika XV i projektant gabinetu medali i gemm madame Pompadour, z drugiej – już jako zaufany Napoleona – często osobiście wskazywał dzieła do zabrania. Tak jak w Polsce, gdy wybierał w Warszawie prace Canaletta, Bacciarellego, a w Gdańsku tryptyk Hansa Memlinga. Ale to nie nadwiślańskie skarby były perłą w koronie. Tę pozycję dzieliły między siebie Włochy oraz Egipt.

Naukowcy i amatorzy

„Można bez wątplenia stwierdzić, że archeologia Egiptu zawdzięcza swoje narodziny wojnie” – twierdzi Świeczyński i trudno się z nim spierać. Wyprawa Napoleona do kraju piramid była nie tylko kolejną kampanią wojenną, lecz także misją naukową. Grupa badaczy zgrupowana w świeżo powołanym Instytucie Egipskim (Institut d'Égypte) otrzymała zadanie zbadania kraju. Zebrane materiały zaprezentowali w dziewięcio- ▷

tomowym dziele „Opis Egiptu, czyli zbiór obserwacji i badań, które zostały dokonane w Egipcie w czasie wyprawy Armii Francuskiej”. Denon z kolei opublikował „Podróż po Dolnym i Górnym Egipcie”, pierwszą tak poważną pracę o zabytkach sztuki i architektury starożytnego Egiptu.

Mówiąc o dokonaniach, nie wolno zapominać o skali rabunku, którego dokonali Francuzi. Choć nie sami. Wspólnie z Brytyjczykami na wyścigi wywozili z Nilu wszystko, co dało się załadować na statki. To wtedy francuscy żołnierze znaleźli przypadkowo kamień z Rosetty, który dwie dekady później pozwolił odczytać hieroglify. Z wojny zwycięsko wyszedł Londyn. Tym razem to Francuzi mieli zostać zmuszeni do podpisania aktu kapitulacji, w którym zawarto zapis zmuszający ich do oddania tych zabytków, które mieli już przygotowane do transportu. W przeciwieństwie do Włochów oni nie zamierzali tego podpisywać. Uczni z Instytutu Egipskiego zagrozili, że prędzej zniszczą swoje łupy, topiąc je w morzu i rozsypując po pustyni, niż oddadzą. Brytyjczycy usiedli więc z nimi do rozmów. Egipcjanie mogli tylko patrzeć, jak dwaj wrogowie dogadują się w sprawie kradzieży ich dziedzictwa.

Ale zabytkowe eldorado dopiero miało się otworzyć. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu lat Egipt nawiedzili liczni archeolodzy amatorzy, handlarze, rabusie i łowcy skarbów, których życiorysy wyglądały, jakby wprost wyjęte ze scenariuszy do hollywoodzkich superprodukcji albo powieści Aleksandra Dumasa. Wzorcowym wręcz modelem takiego człowieka był Giovanni Battista Belzoni. Swoją karierę zawodową zaczynał w cyrku jako silacz, najpierw w Londynie, a później też w Niemczech czy Holandii. Szukając lepszego zarobku, zajął się hydrauliką i to ta specjalność zaprowadziła go do Egiptu. Tam zaprojektował urządzenie do spiętrzania wód Nilu, którym – mimo jego skuteczności – nikt nie był zainteresowany.

Szybko jednak znalazł nowe zatrudnienie. Brytyjczycy zlecili mu sprowadzenie na Wyspy ważącego 7,5 t popiersia Ramzesa II. Belzoni bez wahania podjął się zadania. W trakcie rejsu Nilem próbował mu przeszkodzić wynajęty przez Francuzów turecki urzędnik. O losie monumentu zdecydowała różnica... warunków fizycznych. Mierzący 198 cm wzrostu i ważący 100 kg Włoch po prostu pobił Turka. W kolejnych latach odkrył m.in. świątynię Abu Simbel, był w Karnaku oraz w grobowcu Setiego I. Stał się legendą za życia. Wydobycie przez niego dzieła sztuki trafiły w dużej części do British Museum w Londynie, gdzie stoją do dzisiaj. Ale Belzoni prowadził też na boku prywatną działalność, gromadząc coraz większą kolekcję. W myśl zasady „pokorne ciele dwie matki ssie” sprzedał ją Francuzom. W swojej beczelności potrafił podpisać się na rzeźbie wywożonej z Egiptu.

Takich jak on było więcej. Jedni przygotowani lepiej, drudzy gorzej. Niektórzy z tytułami naukowymi, inni – kompletni amatorzy. Wspólny dla wielu był brak szacunku do historii. Posągi, elementy architektury, dzieła malarskie często wymontowywali z większych całości za pomocą dynamitu, co skutkowało masowymi uszkodzeniami i zniszczeniami nie do odwrócenia. Przy wywożeniu zgromadzo-

nych okazów uciekali się do łapówek. Tym, co najmocniej ich jednak łączyło, była bezwzględność w dążeniu do celu, którym było powiększanie chwały narodu albo pracodawcy, a wcale nie przy okazji również własnych majątków.

Łup nędzny!

Wyjątkiem w tej zbieraninie był lord Thomas Bruce, hrabia Elgin – znakomicie wykształcony dyplomata, brytyjski ambasador w Konstantynopolu, który nie dla zysku, ale dla idei dokonał zbrodni, która przyćmiła wcześniejsze dokonania w Egipcie, a jemu samemu zapewniła jak najgorszą opinię w kolejnych pokoleniach Greków. W przeciwieństwie do Belzoni-go i spółki nie rzucił się na każde znane i nieznanie dzieło sztuki. Jego celem stał się ateński Partenon.

Do zadania podszedł spokojnie i metodycznie. Najpierw od władz tureckich, które kontrolowały wówczas ziemie greckie, otrzymał pozwolenie na robienie rysunków rzeźb oraz sporządzanie ich gipsowych odlewów. Po pewnym czasie uzupełnił je o prowadzenie prac archeologicznych na Akropolu, a także – i to był klucz do sukcesu – zbieranie fragmentów kamienia z rzeźbami i inskrypcjami. Przy odpowiedniej interpretacji otwierało to drogę do swobodnego wywożenia starożytnych arcydzieł do Wielkiej Brytanii. Wraz ze swoim zespołem rzucił się odłupywać łomem i dynamitem rzeźby z Partenonu. I tak jak inni nie zważał na to, że przy okazji niszczył historyczne miejsce. Wśród świadków tych scen byli również rywale Elgina. Krytykowali go za to, co robił, ale jednocześnie zazdrościli. Jeden z nich odciął głowę posagowi piłą.

Łup w całości trafił nad Tamizę. W uznaniu „zasług” Elgina stworzono termin „elginizm” oznaczający rabunkowe pozbawianie historycznych obiektów ozdób rzeźbiarskich. To jedyne, co uzyskał. Cała operacja skończyła się bowiem jego bankructwem oraz wieloma osobistymi dramatami. Jakby chcąc go dodatkowo poniżyć, British Museum długo nie doceniało wartości zgromadzonych przez niego eksponatów. Wśród krytyków jego działań znalazł się lord Byron. Jeszcze zanim został bohaterem walk o niepodległość Grecji, napisał poemat „Wędrowki Childe Harolda”. W księdze drugiej padają słowa: „Jak to? w brytyjskiej mam ogłosić mowie,/ Że Albion szczęście brał z Aten boleści?/ Że w jego imię darli pacholkiwie/ Piers ich, Europa ma słyszeć te wieści?/ Wolną Brytanię, panią mórz, beczęści/ Łup nędzny, ziemi skrwawionej wydarty!” (przekł. Michał Budzyński).

Dzisiaj ten łup nędzny rocznie przyciąga do British Museum ok. 6 mln ludzi. Część z nich zapewne zadaje sobie pytanie, czy „marmury Elgina” nie powinny wrócić tam, skąd je zrabowano. Gdy w listopadzie 2023 r. premier Grecji poinformował swojego brytyjskiego odpowiednika, że będzie chciał o tym porozmawiać, ten drugi odwołał zaplanowane spotkanie. Bo mimo wszystkich rewolucji politycznych, przyjęcia prawa państw do samostanowienia, mimo wprowadzania mechanizmów ochrony dziedzictwa kulturowego, dzieła sztuki dalej są gwarantem prestiżu i źródłem bogactwa dla posiadacza. A z tego nie jest łatwo zrezygnować. ©

Królewski ślub bez tronu

Jak wnuczka Jana III Sobieskiego została żoną Jakuba III Stuarta, matką pretendentów do tronu Anglii i – niemal – świętą

Zofia

Brzezińska

Nad zamkiem Ambras zapadał już pochmurny, kwietniowy zmierzch. Młoda dziewczyna w jednej z komnat nie zwracała uwagi na chłód, pośpiesznie zdejmując kolejne warstwy królewskich szat. Przed nią leżała prosta sukienka służącej. Musiała ją założyć, jeśli chciała tego wieczoru uciec ze swojego więzienia. Po chwili usłyszała pukanie do drzwi. To Charles Wogan – sprzymierzeniec, jakobicki współpracownik jej przyszłego małżonka Jakuba III Stuarta. Dziewczyna bez szmeru opuściła komnatę. Szli w zupełnej ciszy, nie zamieniając ani słowa.

Sen o angielskim tronie

Tak mógł wyglądać początek ucieczki Marii Klementyny Sobieskiej, wnuczki polskiego króla Jana III Sobieskiego, z miejsca internowania w austriackim zamku 27 kwietnia 1719 r. Jak doszło do tego, że jedna z najbogatszych europejskich arystokratek, dziedziczka bajecznych dóbr na Śląsku i w Rzeszy, wnuczka znanego w całej Europie zwycięzcy spod Wiednia w ogóle stała się zakładniczką? Do tej niezwyklej sytuacji doprowadziły zawilości polityki europejskiej z początku XVIII w. Urodzona 17 lipca 1701 r. w Oławie Maria Klementyna, córka Jakuba Sobieskiego i Elżbiety Jadwigi Neuburskiej, już jako dziecko stała się pionkiem w grze politycznej.

Spośród kandydatów ubiegających się o rękę najmłodszej z trzech sióstr, które pieszczotliwie zwano królewniami, od początku wyróżniał się pretendent do tronu Anglii, Szkocji i Irlandii Jakub III Stuart, syn obalonego podczas chwalebnej rewolucji w 1688 r. króla Jakuba II. Taki mariaż oznaczał dla Sobieskich podtrzymanie prestiżu dynastycznego poza Polską, a także wzmocnienie katolickich sojuszy w Europie Zachodniej. Sobiescy mieli nadzieję, że kandydat na zięcia zdoła odzyskać tron, a wówczas Maria Klementyna zostanie królową Anglii, jednego z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych państw europejskich. Jakub niejednokrotnie udawał, że przejawia takie ambicje. Udało mu się doprowadzić do uznania go za króla przez władcę Francji Ludwi-

ka XIV, co stało się jedną z przyczyn wojny o sukcesję hiszpańską. Poza tym w 1708 r. podjął nieudaną próbę lądowania w Szkocji na czele wojsk francuskich. Cieszył się wsparciem części katolickich monarchów oraz papieża Klemensa XI, ale bez własnej armii był zupełnie zależny od swoich sojuszników. Stuart liczył na to, że posąg Marii Klementyny pozwoli chociaż częściowo sfinansować utrzymanie własnego wojska, które w przyszłości pomoże mu odzyskać tron. Dlatego też z zamiarem poślubienia najmłodszej z córek Jakuba Sobieskiego mężczyzna nosił się już od 1711 r. Konkretne ustalenia zapadły jednak dopiero w 1718 r., gdy do Stuarta dotarły pozytywne raporty o zaletach ewentualnej wybranki.

Jesienią tego roku 17-letnia Maria Klementyna wyruszyła wraz z matką w podróż do Włoch, gdzie zaplanowano ceremonię ślubną. Pozbawiony tronu Stuart spędzał życie na dworach różnych przychylnych mu władców europejskich, jednak jego główną siedzibą był francuski zamek Saint-Germain-en-Laye. Stamtąd Jakub miał wyruszyć do Rzymu, aby pod okiem i z pełnym błogosławieństwem papieża pojąć za żonę pobożną katoliczkę, potomkinię wielkiego pogromcy niewiernych.

Dama w opałach

Taki scenariusz wydarzeń wyraźnie niepokoił Jerzego I, króla Anglii. Wywodził się on z dynastii hanowerskiej i był protestantem. Monarcha obawiał się, że ślub z Sobieską zanadto wzmocni finansową i społeczną pozycję Stuarta, a ewentualni dziedzice Jakuba będą kontynuować zabiegi o odzyskanie wyspiarskiej korony. Co prawda w 1701 r. (jak na ironię, był to rok narodzin Marii Klementyny) parlament angielski przyjął Ustawę o następstwie tronu (Act of Settlement), która pozbawiała katolików i osoby pozostające w związku małżeńskim z katolikiem bądź katoliczką prawa do korony angielskiej, Jerzy jednak wolał dmuchać na zimne.

Władca namówił do współpracy cesarza Karola VI. Aby nie dopuścić do zawarcia tego małżeństwa, Habsburg zatrzymał orszak Marii Klementyny, gdy ten przemierzał jego terytorium. Zaareztowany w Austrii dwór odprawiono z powrotem do Oławy,



FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

a arystokratkę uwięziono w górującym nad Innsbruckiem zamku Ambras. Otrzymała tam odpowiednie do swojego statusu warunki, wygodną komnatę oraz służbę. Jednak każdy jej krok był śledzony, korespondencja kontrolowana, a los niepewny. Dziewczyna się spodziewała, że będzie musiała pozostać w zamku tak długo, aż zgodzi się zerwać zaręczyny ze Stuartem i przyjąć inną, odpowiadającą planom protestantów propozycję matrymonialną. Okazało się jednak, że narzeczony nie zostawił jej samej w tym trudnym położeniu. Stuart zaplanował ucieczkę swojej oblubienicy z zamku i zdołał wcielić ten zamiar w życie.

W swoje plany wtajemniczył dwóch najbardziej zaufanych dworzan i politycznych sprzymierzeńców, Irlandczyków Charlesa Wogana oraz Richarda Gaydona. Dzięki przekupieniu straży wślizgnęli się oni wieczorem 27 kwietnia do zamku (według niektórych relacji wykorzystali zamieszanie spowodowane gwałtowną burzą). Mężczyźni wyprowadzili z zamku przebraną za służącą królowisnę. Uciekinierzy przenocowali w gospodzie Pod Czarnym Orłem, a o świcie następnego dnia ruszyli w podróż. Wraz z grupą zaufanych ludzi zaczęli się wspinać na alpejską przełęcz Brenner (1374 m n.p.m.). Jak wiemy z pisemnych relacji Wogana i Gaydona, które się zachowały, tego dnia warunki w górach były trudne; padał deszcz i śnieg. W okolicach Trydentu Włoch Michel Vezossi wyprzedził orszak, aby rozpoznać teren i postarać się o konie.

Orszak przemieszczał się przez trudny odcinek wzdłuż rzeki Adygi. Następnej nocy podczas jazdy w mroku złamała się oś w karecie. Maria Klementyna musiała się udać na nieplanowany postój we wsi Alla, a Wogan w tym czasie zdołał znaleźć dwuosobową kariolkę i opłacił hojnie pocztyliona, który odstąpił uciekinierom swoje konie. Ko-

lejnego dnia dotarli do Peri w Republice Weneckiej, gdzie pozwolili sobie na krótki odpoczynek w jednej z gospód, lecz niebawem musieli ponownie ruszyć w drogę. Cesarski pościg znajdował się już na terenie Trydentu. Dopiero 2 maja, gdy znaleźli się w Bolonii, poczuli się bezpieczni. W pięć dni pokonali blisko 400 km dzielące Innsbruck i Bolonię. Tam 9 maja odbył się ślub per procura Marii Klementyny Sobieskiej oraz Jakuba III Stuarta. Pana młodego zastępował jego dworzanin James Murray.

Po ślubie kończy się bajka

Papież Klemens XI był tak zachwycony brawurową ucieczką królowisni z Ambras, że postanowił wybić specjalny medalion na jej cześć. Zadania tego podjął się rzymski medalier Otto Hamerani. Awers wyrobu przedstawia popiersie Marii Klementyny, a rewers – symboliczny wóz czy rydwan zmierzający ku Rzymowi oraz motto FOR-TVNAM CAVSAMQVE SEQVOR (poddajam za losami i słuszną sprawą). Nie ulegało wątpliwości, że najbliższe otoczenie hierarchy darzy Sobieską wielkim szacunkiem. Dbano o to, aby mieściące oczekiwania na męża w Rzymie upłynęły jej jak najprzyjemniej. Kobieta witana była wszędzie z najwyższymi honorami.

We wrześniu 1719 r. przybył wreszcie do Rzymu Jakub Stuart. Młodzi, którzy mieli znów (tym razem osobiście) stanąć na ślubnym kobiercu, zobaczyli się wówczas po raz pierwszy. Nie zachowały się relacje o tym, czy przypadli sobie do gustu i jak układały się pierwsze miesiące ich wspólnego życia. Wiadomo jedynie, że zamieszkali w wynajętym dla nich przez Stolicę Apostolską Palazzo del Re. Pałac stał się nie tyl-

ko ich pierwszym gniazdem rodzinnym, lecz także centrum działalności politycznej Stuarta. To tutaj zjawiali się przedstawiciele jakobickiej emigracji, szukający schronienia przed prześladowaniami lub pragnący okazać wsparcie Jakubowi. Szybko też się okazało, że małżonków łączy zamiłowanie do sztuki. Stuart wraz z żoną objęli swoim patronatem główny rzymski teatr Teatro della Dame. Artyści tworzyli na ich cześć utwory. Parze zadeedykowano 18 kompozycji operowych, w których występowali najznakomitsi śpiewacy epoki. Małżonkowie zamawiali portrety u sławnych malarzy. Jakub lubił także z wielką pompą świętować swoje urodziny.

Niestety, już po narodzinach pierwszego syna Karola Edwarda, który przyszedł na świat w 1720 r., między małżonkami zaczęło dochodzić do nieporozumień. Oczywiście Jakuba bardzo ucieszyły narodziny syna. Widział w prawowitym potomku szansę na wzmocnienie pozycji Stuartów oraz podkreślenie zasadności ich roszczeń do angielskiego tronu. Nie zamierzał jednak przyznawać żonie ani prawa do posiadania własnego dworu, ani pensji, ani nawet prawa współdecydowania o losie chłopca. W odróżnieniu od ówczesnej Anglii i Szkocji w szlacheckiej Rzeczypospolitej kobiety odgrywały znaczną rolę w zarządzaniu domem i majątkiem. Decydowały też o sprawach rodzinnych.

Oliwy do ognia dołała decyzja Jakuba, aby czteroletniego Karola od-

dać pod opiekę dworzanina Murraya, który był protestantem. Maria Klementyna, żarliwa katoliczka, nie mogła się z tym pogodzić. Tuż po urodzeniu w 1725 r. drugiego syna, Henryka Benedykta, postanowiła opuścić rodzinę i zamieszkać w klasztorze benedyktynek Santa Cecilia in Trastevere. Jak wyjaśniała w listach do męża, uczyniła to, aby „szukać sprawiedliwości i natchnienia w Bogu”.

Maria Klementyna przez całe życie prowadziła również serdeczną korespondencję ze swoim ojcem, z którym miała bliską, emocjonalną więź. W realiach epoki było to niezwykle i odróżniało Sobieskich od Stuartów. W szkocko-angielskiej dynastii relacje pomiędzy członkami były daleko bardziej oficjalne i zdystansowane. Nic dziwnego zatem, że Jakub nie był w stanie pojąć pragnień i swobodnego stylu bycia żony. Zamierzał jednak odzyskać matkę swoich dzieci, dlatego po dwóch latach jej pobytu w klasztorze zawarł z nią ugodę oferującą Marii Klementynie przynajmniej częściową niezależność.

Po powrocie z klasztoru Sobieska wykazywała się jeszcze większą religijnością. Dużo się modliła, praktykowała posty i surową ascezę. Straciła też w znacznej mierze zainteresowanie świecką kulturą. Angażowała się w dzieła religijne i charytatywne, otaczała się osobami duchownymi. Zmarła w 1735 r., przeżywszy zaledwie 34 lata. Odeszła uważana za świętą. Jej pogrzeb był bardzo uroczysty. Ciało kobiety spoczęło w bazylice św. Piotra (co było wielką nobilitacją), wnętrzności – w bazylice świętych 12 Apostołów, a serce – w kaplicy rodzinnego pałacu. Tego typu pochówek wieloczęściowy był powszechnie stosowaną praktyką przez wiele europejskich dynastii i rodzin arystokratycznych, m.in. przez Burbonów, Habsburgów i Stuartów.

Chociaż formalnie Maria Klementyna była zaledwie żoną pretendenta do tronu i nie dane jej było nawet odwiedzić ojczyzny męża, w Rzymie postrzegano ją jako królową. Przez pewien czas istniał plan wszczęcia procesu beatyfikacyjnego zmarłej, jednak ostatecznie do tego nie doszło. Papiestwo oficjalnie sympatyzowało ze Stuartami, ale musiało uważać, by nie doprowadzić do otwartego konfliktu z Anglią hanowerską. Beatyfikacja Marii Klementyny mogłaby zostać odebrana jako demonstracyjne opowiedzenie się po stronie jakobitów oraz prowokacja wobec Londynu.

W przeciwieństwie do swojej żony Jakub III Stuart dożył sędziwego wieku. Zmarł w 1766 r. Nie udało mu się zrealizować marzenia swojego życia – nigdy nie powrócił na tron angielski. Wyczyn ten nie powiódł się także jego synom. Chociaż Karol w 1745 r. stanął na czele wielkiego powstania jakobickiego w Szkocji, insurekcja ta zakończyła się całkowitą klęską, która ostatecznie pogrzebała szanse Stuartów na odzyskanie tronu. Natomiast Henryk wybrał życie w stanie duchownym. Został kardynałem i wysokim hierarchą Kościoła, a po śmierci starszego brata stał się symbolicznym, już czysto tytularnym pretendentem do tronu brytyjskiego. ©©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Największe złudzenie ekonomii

Rafał Woś

Jednym z największych problemów (i wyzwań zarazem) współczesnej ekonomii jest ścisły podział na pieniądź i kredyt. Przekonanie, że to dwie oddzielne kategorie, jest, jak się okazuje, złudzeniem.

Na chłopski rozum rozróżnienie jest łatwe. Pieniądź to środek finalizujący transakcję; kredyt jest zaś odłożeniem płatności w czasie. W praktyce jednak sprawa szybko się komplikuje. Pomyślmy np. o czterech podstawowych instrumentach finansowych naszych czasów: złocie, walucie, depozytach oraz papierach wartościowych. Jakże kuszące jest to, by podzielić je w sposób następujący: złoto i waluta to „pieniądz”, a depozyt i papiery to „kredyt”.

Ale to jest właśnie owo złudzenie. Papier wartościowy jest rodzajem kredytu, bo stanowi zobowiązanie do bycia wykupionym za złoto, walutę lub równoważność depozytu. Depozyt jest kredytem, który po złożeniu w banku może być w każdej chwili wymieniony na walutę lub równoważność w złocie. Depozyt sam może jednak posłużyć do wykupu papieru wartościowego. Wtedy przestaje być kredytem, a staje się realnym pieniądzem. Waluta może być sposobem na wykupienie depozytu i kupno papieru wartościowego. A jednocześnie stanowi rodzaj kredytu, który bank centralny jest zobowiązany od nas przyjąć. A w czasach parytetu złota istniało wręcz zobowiązanie, że będzie on zamieniony na kruszec. W dzisiejszych czasach moglibyśmy do tej wyliczanki dodać jeszcze kryptowaluty – zwłaszcza stablecoiny. One też mogą służyć jako pieniądź, ale mogą być kredytem.

Dzieje się tak dlatego, że nie ma jednej zawsze prawdziwej perspektywy patrzenia na gospodarkę. Takich perspektyw mamy przynajmniej trzy. Z punktu

widzenia sektora prywatnego (pierwsza) papier wartościowy może być zobowiązaniem (gdy my go emitujemy i zobowiązujemy się do spłacenia). Ale dla drugiej strony transakcji ten sam papier wartościowy jest aktywem. Aktywem sektora prywatnego są także depozyty bankowe. Te same depozyty dla sektora bankowego (druga perspektywa) są jednak zobowiązaniem. Aktywami banku jest waluta. Ale waluta to jednocześnie zobowiązanie banku centralnego (trzecia perspektywa). Bank centralny trzymający złoto ma aktywa. W tym systemie tylko złoto nie jest niczym zobowiązaniem. Twórcy bitcoina zamierzali powtórzyć ten manewr. Ale pojawienie się kryptowalut w typie stablecoinów już zmienia sytuację. Bo te ostatnie są w zasadzie tożsame z walutą i tamże należy je umieścić w hierarchii instrumentów finansowych.

Oczywiście możemy ten model jeszcze skomplikować, dodając kolejne elementy. Na przykład dług publiczny. Będzie on – z jednej strony – zobowiązaniem rządu. Ale jednocześnie to aktywa banku centralnego. Kredyty bankowe są aktywem banków. A jednocześnie zobowiązaniem sektora prywatnego.

Przedstawiony tu tok rozumowania pochodzi z pracy błyskotliwego ekonomisty Perry'ego Mehrlinga. Może najciekawszego autora naszych czasów, o którym większość czytelników zapewne nigdy nie słyszała. Prace Mehrlinga trudno przyporządkować którejś z zastanych szkół; uważa się, że najbliższe mu to takich klasyków jak Hyman Minsky czy Charles Kindleberger. Podejście Mehrlinga jest fascynujące i niepokojące zarazem. Pewnie dlatego na razie nikt nie wie, jak go rozgryźć.

©P

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Koszty pracy a innowacje

Skuteczna polityka rynku pracy powinna łączyć wzrost wynagrodzeń z inwestycjami w umiejętności i przekwalifikowanie

Teoria ekonomii pokazuje, że gdy koszty pracy rosną, to firmy zyskują motywację, by inwestować w technologie automatyzujące wytwarzanie. Ponadto wzrost kosztów pracy wpływa na tempo i skalę ukierunkowanego postępu technologicznego, czyli na to, na ile nowe rozwiązania koncentrują się na zastępowaniu maszynami pracy ludzi. Te przewidywania znajdują potwierdzenie w badaniach.

David Hémons (Uniwersytet w Zurychu), Morten Olsen (Uniwersytet w Kopenhadze), Carlo Zanella (Swiss Life) oraz Antoine Dechezleprêtre (London School of Economics) przeanalizowali dane z lat 1997–2011 z ponad 3 tys. firm przemysłowych, które same opracowują i patentują technologie, by zbadać, czy wzrost płac – szczególnie wśród nisko wykwalifikowanych pracowników – faktycznie prowadzi do wzrostu innowacji związanych z automatyzacją pracy.

W centrum ich ustaleń znajduje się liczba patentów automatyzacyjnych zgłoszonych przez firmę w danym roku. Następnie naukowcy pogrupowali patenty według kodów klasyfikacji technologicznej, tworząc jednolitą bazę pozwalającą śledzić, które firmy rzeczywiście inwestują w rozwój technologii. Z danych wynika, że wynalazki automatyzujące pracę stanowiły około jednej piątej wszystkich patentów w dziedzinie maszyn.

Aby zrozumieć, skąd się biorą bodźce do innowacji, autorzy przyjrzeni się płacom pracowników o różnym poziomie umiejętności. Pracownicy nisko wykwalifikowani to osoby wykonujące powtarzalne czynności, np. w produkcji czy prostych usługach. Wysoko wykwalifikowani to ci, którzy mają wyższe wykształcenie techniczne lub naukowe i wykonują zadania wymagające analizy, planowania czy zarządzania. Co istotne, ta druga grupa jest komplementarna wobec technologii, bo to oni tworzą i rozwijają systemy automatyzacji, więc ich praca nie jest zastępowana.

Kluczowy pomysł autorów polegał na wskazaniu, że firmy produkujące technologie eksportują swoje rozwiązania. Oznacza to, że ich decyzje innowacyjne zależą nie tyle od płac w kraju, w którym mają siedziby, ile od kosztów pracy w tych miejscach, gdzie są ich klienci. Aby to uchwycić, badacze stworzyli dla każdej firmy wskaźnik odzwierciedlający jej ekspozycję na zmiany płac za granicą. Jeśli np. większość klientów danej firmy znajduje się w Niemczech, to wzrost niemieckich wynagrodzeń stanowi dla niej silniejszy bodziec do opracowywania technologii automatyzacyjnych.

Badacze przeanalizowali także zależność między liczbą patentów a płacami nisko i wysoko wykwalifikowanych pracowników. Wyniki są jednoznaczne: wzrost płac osób nisko wykwalifikowanych o 1 proc. prowadzi do wzrostu

liczby patentów automatyzacyjnych o 2–5 proc. Efekt jest silny, statystycznie istotny i nie występuje w przypadku innych rodzajów innowacyjnych technologii. Co więcej, gdy płace osób wysoko wykwalifikowanych rosną, to liczba patentów spada. Ten wynik sugeruje, że firmy ograniczają automatyzację, gdy drożeje praca wymagająca kompetencji trudnych do zastąpienia.

Autorzy pokazują też konsekwencje strukturalne tych procesów. Sektory o wyższym udziale patentów automatyzacyjnych notują spadek udziału pracy w wartości dodanej o ok. 1,3 pp. na dekadę oraz spadek liczby rutynowych zadań o 1,4 centyla, przy jednoczesnym wzroście udziału pracowników wysoko wykwalifikowanych.

Oznacza to, że automatyzacja nie tylko podnosi produktywność, lecz także przesuwa gospodarkę w stronę pracy specjalistycznej i kapitałochłonnej. Wyniki badania pokazują, że decyzje firm o automatyzacji są reakcją na bodźce ekonomiczne. Reformy, które podnoszą płace lub czynią zatrudnienie pracowników o niskich kwalifikacjach droższym, mogą w dłuższym okresie przyspieszać automatyzację, nawet jeśli początkowo poprawiają sytuację tych grup. To pokazuje, że skuteczna polityka rynku pracy powinna łączyć wzrost wynagrodzeń z inwestycjami w umiejętności i przekwalifikowanie.

©P

Sebastian

Zalas

Autor jest ekonomistą GRAPE